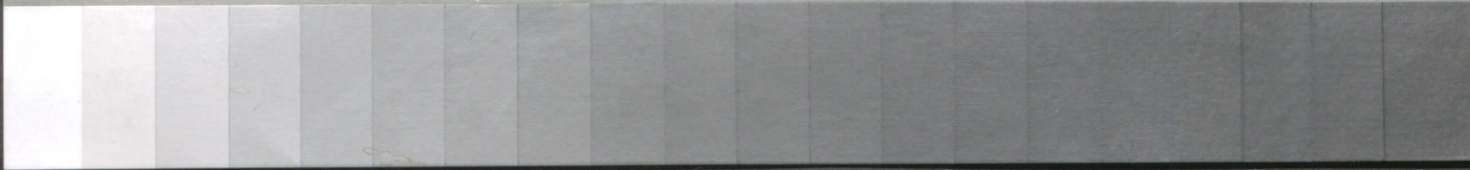


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



ZDZISŁAW MORAWSKI

ŚW. KAROL BOROMEUSZ

NA TLE ODRODZENIA RELIGIJNEGO W XVI WIEKU

920

NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — 1922 — WARSZAWA



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches
Centimetres
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19



ZDZISŁAW MORAWSKI

ŚW. KAROL BOROMEUSZ

NA TLE ODRODZENIA RELIGIJNEGO W XVI WIEKU

920

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — 1922 — WARSZAWA

43.

C. D. Z.

N^o 189.

№ 581

BIBLIOTEKA
par. św Józafata
w Warszawie
przy ul Powązkowskiej

12

ŚW. KAROL BOROMEUSZ

BIBLIOTEKA
par. św Józafata
w Warszawie
przy ul. Powązkowskiej

ZDZISŁAW MORAWSKI

581.

ŚW. KAROL BOROMEUSZ

NA TLE ODRODZENIA RELIGIJNEGO W XVI WIEKU

973.

BIBLIOTEKA
par. św Józafata
w Warszawie
przy ul. Powązkowej



NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - - - 1922 - - - WARSZAWA

WSPÓLCZESNE
ŚW. KAROŁOWI BOROMEUSZOWI
PONTYFIKATY

ŚW. KAROL BOROMEUSZ

ur. 2 października 1538

um. 3 listopada 1584

Paweł III

1534 — 1549 — I okres Soboru Trydenckiego

1545 — 1549

Juljusz III

1550 — 1555 — II okres Soboru Trydenckiego

1551 — 1552

Marceli II

1555

Paweł IV

1555 — 1559

Pius IV

1559 — 1565 — III okres Soboru Trydenckiego

1562 — 1563

Św. Pius V

1565 — 1572

Grzegorz XIII

1572 — 1585

Nie niszczyć książek

BIBLIOTEKA
par. św Józafata
w Warszawie
przy ul Powązkowskiej

Początki odrodzenia religijnego w XVI w.
Paweł III.

Stusnie powiada Macaulay w słynnym essay „O rzymsko-katolickim Kościele”, że gdy się rozważy owe powtarzające się ciągle w biegu stuleci zawistne napaści na Kościół katolicki, które przetrwał on przecież żywy, to doprawdy pojąć trudno, coby go wogóle do zagłady mogło przywieść. W pierwszej połowie XVI wieku zdawało się istotnie, że godzina tej zagłady dlań wybiła. Luter, Zwingli, Kalwin, a za nimi inni nowatorzy bili jak taranem w mury kościelne. Pierwszy z nich nawoływał uczniów, ażeby „mową i pieśnią, piórem i pendzlem” godzili w papiestwo, a groził, że „przeklętym będzie, kto by się do tej pracy lenił”. Broń duchowa zamieniała się coraz częściej w materjalną, bo książęta świeccy, wyzyskując walkę sumień dla świeckich celów, zamiast uśmierzać wzmagali zamęt, zamiast spajać rozdawali jeszcze bardziej społeczność chrześcijańską. Z żywego jej ciała wyrwano wnet trzecią część, wielki odłam Niemiec, Szwajcarję, Anglję, Skandynawję. Piętnastowiekowy trud apostolski kruszył się w kawały, i wedle ludzkich pojęć zanosilo się już doprawdy na to, że się takiemu

sprzysiężeniu wrogich sił uda łatwo i prędko dokonać dzieła, zburzyć budowę kościelną. Bo mury jej, silnie zarysowane od wewnątrz, zbyt napozór słaby tylko opór stawiać mogły. Skończona dopiero przed wiekiem wielka schizma Kościoła, która wśród papieży i antypapieży zawichrzyła sumienia; wskrzeszanie pogaństwa przez bałamutnych zwykle, a wkońcu zwyrodniałych nieraz humanistów; wskutek ustawicznych walk nowopowstałych tyranów włoskich pomiędzy sobą, wciągnięcie i państwa papieskiego w ten ruch współzawodniczy, który często wywoływał tak groźną dla Kościoła politykę rodową i zakusy dynastyczne nepotów; za przykładem z góry zeświecczenie całej hierarchji kościelnej w zupełnem rozluźnieniu dyscypliny i obyczajów: — wszystko to uprawiło rolę pod siew nowatorów północnych i dało im broń gotową do ręki w chwili buntu. Rzadkie głosy przestrogi nie miały posłuchu. Naprózno wskazywał taki Egidio z Viterbo przy pierwszej próbie reformy, przy otwarciu soboru laterańskiego w r. 1512, „że ludzi należy zmieniać przez religję, nie zaś religję przez ludzi”. Soboru tego zbawienne skądinąd nauki pozostały literą martwą, bo do ich przeprowadzenia brakowało potrzebnej energii u góry. Papieże z rodu Medyceuszów nie mieli dość hartu na czas walki. Leon X, który *suave iugum* — słodkie jarzmo — za godło przyjął, niedocenił grozy owej burzy, jaka nadciągała z poza Alp. Klemens VII, wahaający się ustawicznie, polityk na miarę Florencji

a nie Rzymu, dał się bezbrinnie tej burzy zaskoczyć w sądnym dniu Odrodzenia, w okropnym Sacco di Roma.

Szkoda była nie do naprawienia, rozłam kościelny dokonany. Należało teraz reformą podjętą od wnętrza ratować, wzmacniać to, co pozostało. Związek tej pracy był cichy i skromny. W najświetniejszym okresie pontyfikatu Leona X, wśród uroczystości, uciech i zabaw przekwitu Odrodzenia, a we wilgę niemal północnego buntu, bo w tym samym pamiętnym roku 1517, którego zmrok oświecił złowrogą błyskawicą protest wittenberski, garstka głębiej myślących i dalej wzrokiem sięgających ludzi jęła się schodzić w małym kościele św. Sylwestra i św. Doroty na cichem Zatybrzu rzymskiem. Celem tych schadzek były zapewne zrazu te tak drogie ludziom owej epoki dyskusje z dziedziny filozoficznej i teologicznej. Ale niebezpieczeństwo chwili cele te wnet pogłębiło, liczba świeckich i duchownych członków wzrosła, i związało się stowarzyszenie pod wezwaniem Bożej Miłości. Wspólna modlitwa, słuchanie razem kazań, częstsze przystępowanie do Sakramentów, rozdawanie jałmużn i inne dzieła miłosierdzia, wreszcie roztrząsanie potrzeb Kościoła, a temi drogami odnowienie i przekształcenie siebie samego, szerzenie reformy kościelnej słowem i piórem, nade wszystko zaś przykładem własnym, — to były wytyczne linje nowego stowarzyszenia. Zdobiły to grono doborowe cnotą, nauką i stanowiskiem na-

był zamłodu uczniem najszczerzej może, ale i najrdzenniej pogańskiego humanisty Pomponiusa Laetusa, w słynnej jego rzymskiej akademii; następnie chował się we Florencji, na rozkoszonym dworze Medyceuszów, w towarzystwie synów i bratanków wspaniałego Lorenza; potem znów w Rzymie, a to na wstępie do kariery kurjalnej, potrafił szybko zjednać sobie łaski wszechmocnego naówczas kamerlenga Rodryga Borgji, który wstąpiwszy na Stolicę Apostolską jako Aleksander VI, ozdobił wnet młodzieńca kardynalską purpurą. Każda z tych stacyj zostawiła na Pawle III jakiś ślad na całe życie. Z pierwszej wyniósł on chyba tę tak nielicującą z powagą arcykapłańską zabobonność i wiarę w gwiazdy, wedle których do końca długiego żywota przed każdym ważniejszym przedsięwzięciem najprzód horoskop przez nadwornych astrologów stawiać sobie kazał. W drugiej, florenckiej nabrać musiał tego zamiłowania do przepychu i świetności, co mu zresztą jednało poklask zawsze uciech i widowisk spragnionego rzymskiego ludu. W trzeciej wreszcie, w otoczeniu Borgjów i za ich pewnie przykładem, oswoił się z duchem i praktyką tyle papieżstwu szkód wyrządzającego w owych czasach nepotyzmu, który i na jego pontyfikat nadmiernem wywyższaniem rodu Farnesów cień rzuca.

A przecież to dziecko Odrodzenia, ten z krwi i kości człowiek z quattrocenta, potrafił szerokim umysłem objąć odrazu zmienione całkiem położenie Kościoła i rozeznąć się w jego nowych,

naglących potrzebach. Zdolnościom wrodzonym dawało praktyczny podkład długoletnie doświadczenie, nabyte w ciągu sześciu pontyfikatów, kiedy stojąc na wysokich szczeblach hierarchji, śledził z bliska grę wypadków i często wmieszany był w ich zamęt: pamiętał pierwszą wyprawę Karola VIII do Włoch, następnie ligę z Cambrai i bitwę pod Rawenną, potem bitwę pod Pawją i przeżył *sacco di Roma*, dzieląc niewolę Klemensa VII w zamku św. Anioła; patrzył na początki reformacji i widział jej przerażająco szybki rozrost, odszczepieństwo Niemiec, potem Henryka VIII i Anglii. Wskutek tych doświadczeń postanowił więc zmienić politykę Rzymu, wyrwać papieństwo z wiru zapasów Hiszpanji z Francją, stanąć jeżeli nie ponad, to przynajmniej na czas dłuższy poza walką stron, a natomiast strzec interesów Kościoła i wlać weń odporność na bój z reformacją. „Kim jest Paweł III — pisał o nim współczesny mu nasz Hozjusz, — to najłatwiej po tem poznać, kogo sobie na doradców wybiera”. Bo z rzadką trafnością sądu i znajomością ludzi zdołał Farnese zaraz w pierwszych latach swego pontyfikatu zszeregować wokół siebie doborowy zastęp mężów, branych właśnie przeważnie z pomiędzy owych cichych pracowników z epoki papieży Medyceuszów, i stworzyć kolegium kardynalskie, jakiego Rzym już dawno nie pamiętał. Nowi purpuraci jak Carraffa i Sadoletto, jak Contarini i Reginald Pole, jak późniejszy papież Cervini, jak Cortese, Morone

i Fregoso, przejęci duchem nawskroś kościelnym, a gorących serc i podniosłych umysłów, byli doskonałymi narzędziami do podjęcia reformy, dla której papież osobną komisję z grona ich wybrał i której prace sam śledził gorliwie. Równocześnie zaś otoczył Paweł III nowopowstałe zgromadzenia zakonne szczególną opieką, zatwierdził regułę zakonną Towarzystwa Jezusowego, somasków, barnabitów, urszulanek, uratował zagrożony w swoim istnieniu głośnem odszczepieństwem Ochina związek kapucynów, a teatynom sprowadzonym z weneckiego zacisza polecił dźwigać moralnie lud rzymski, znękany jeszcze po „klęsce burbońskiej” z 1527 r. Sam związany z przeszłością, nie był on w pełni tego słowa człowiekiem reformy katolickiej, lecz rozwarł do niej wrota znakomitym swym następcom z drugiej połowy XVI wieku, gdy wydobywszy na wierzch, z katakumbowego nieraz prawie ukrycia tyle żywotnych sił w społeczeństwie kościelnem, przystępował po kilkunastoletnich rządach do fundamentalnego dzieła naprawy, do otwarcia soboru trydenckiego.

Taki był stan Kościoła, i właśnie czwarty rok pontyfikatu Pawła III dobiegał końca, kiedy w północnych Włoszech przyszło na świat dziecko, które wyrosłszy, poświęcić miało cały swój żywot tej świeżo rozpoczętej reformie i stać się jednym z jej najdoskonalszych, uświęconych wzorów: 2 października 1538 r. w dzień śś. Aniołów Stróżów urodził się Karol Boromeusz.

II.

Młodość św. Karola.

Na południowym zakręcie Lago Maggiore, tam, gdzie jego wody poza kwitnącemi gajami Pallanzy, Stresy i rozkosznej Isola Bella zwężają się, spływając wśród niższych już, winnicami pokrytych wzgórz ku żyznej równinie lombardzkiej, na zachodnim brzegu, a niedaleko ujścia Ticina z jeziora, leży miasteczko Arona.

W XVI wieku wznosił się tam zamek, w którym mieszkał ojciec św. Karola, hrabia Giberto Borromeo. Starożytny ród Boromeuszów pochodził z Toskany, z San Miniato al Tedesco, skąd go wojny domowe na północ do Lombardji, najpierw do Pawji, potem do Medjolanu zagnały. W epoce długich wojen francuskich i hiszpańskich na ziemi lombardzkiej zdołał hrabia Giberto wyjść cało z burzy i uratować swe obszerne włości i lenna, a nawet pojąć względy Karola V, który go chętnie wyszczególniał. Ożeniony był z Margheritą de' Medici z Medjolanu, siostrą margrabiego di Marignano, dość głośnego naówczas kondotjera w służbie cesarskiej i kardynała Giovan Angela de' Medici, późniejszego papieża Piusa IV. Medjolańscy ci Medyceusze nie mieli nic wspólnego z Medyceu-

szami florenckimi i nazwisko ich brzmiało pierwotnie Medichino, a pochodzenie było skromne. Dopiero skoligacenie się z rodem Serbellonich, z którego wyszła ich matka, potem małżeństwo siostry z Boromeuszem, otwarło im wstęp do patrycjatu medjolańskiego. Gdy zaś kardynał Giovan Angelo wstąpił na Stolicę Apostolską, zabiegający o jego łaski wielki książę tokański Kosma Medyceusz przyznał się chętnie do tak zaszczytnej, a politycznie dogodnej mu parenteli i w herbie Piusa IV widniały odtąd zawsze znane palle Medyceuszów florenckich.

Giberto Boromeusz był według świadectwa Giussana, towarzysza i biografą św. Karola, człowiekiem spokojnym i bogobojnym, a tak dobroczynnym, iż go przyjaciele nieraz musieli przestrzegać, żeby zbytnią szczodrobliwością nie uszczuplał mienia i własnych nie krzywdził dzieci. W domu przestrzegał obyczaju, aby nie siadać nigdy do stołu, nie obdarzywszy wprzód ubogich jałmużną. Zresztą skłonny był do samotności, a podobny żywot wiodła małżonka jego Margherita, która chętnie stroniła od ludzi i światowego zgiełku, opuszczając dom chyba dla odwiedzania kościołów i klasztorów, poza tem zaś oddana była tylko dzieciom i ich wychowaniu. Z dzieciństwa św. Karola, drugiego z rzędu syna po starszym, Fryderyku, i z pierwszych jego lat młodzieńczych niewiele zachowało się szczegółów. Tyle wiadomo, że chłopiec był cichy, skromny, że unikał głośnych gier

rówieśników, a zabawiał się chętniej sam ustawianiem i przystrajaniem małych ołtarzy i kapliczek, w czym najmilszą znajdował uciechę, a czego pamiętać zachował hymn śpiewany co rok w Medjolanie w dzień jego święta:

Primis ab annis innocens

Aris struendis luserat.

W Medjolanie odwiedzał pilnie w chwilach wolnych od nauki kościoły, a jeżeli u młodych jego towarzyszków ta wczesna jego niezwykła pobożność wywoływała czasem przycinki i żarty, to uderzała ona już wtedy i zastanawiała starszych. I tak opowiadają, że Bonawentura Castiglione, czcigodny przełożony kolegiaty Ambrozjańskiej ze szczególną go zawsze, uszanowaniem już prawie nacechowaną serdecznością witał, zapytany zaś o powód tak niezwykłego wyróżniania młodzieniaszka: „Wy go nie znacie — odrzekł jakby proroczko — a on kiedyś będzie reformatorem Kościoła i wielkich dokona rzeczy“.

To usposobienie dziecka, tak wczesne rokujące powołanie do stanu duchownego, skłoniło hrabiego Giberta, aby częstym naówczas, a zresztą przechowanym do dzisiejszego dnia we Włoszech zwyczajem, młodziutkiego jeszcze syna oddać na służbę Bożą. W dwunastym roku życia otrzymał więc św. Karol niższe święcenia, nie wiążące na żywot cały, ale przygotowujące niejako do kapłaństwa, i przywdział suknię duchowną. Równocześnie nadał mu jeden z krewnych opactwo św. Gracjana w rodzinnej Boromeuszów Aronie. Podobne nadawanie

beneficjów kościelnych nieletnim było rozpowszechnieniem w owych czasach nadużyciem, a to z tych nadużyć właśnie, z którymi św. Karol miał najostrzej sam później walczyć. Wtedy nie raziło to nikogo; owszem ubiegano się ogólnie o takie wczesne zaopatrzenia, i Giberto Boromeusz z wdzięcznością przyjął dar zabezpieczający przyszłość syna. Wysłał go też wkrótce, kiedy młodzieniec ukończył nauki humanistyczne, do Pawji, ażeby tam w słynnej, już w X wieku założonej, potem w połowie XIV stulecia na uniwersytet rozszerzonej szkole prawa, ćwiczył się w jurysprudencji. I tam również wiódł św. Karol żywot cichy, unikając zbyt-niej poufałości z burzliwą kompanją innych scholarów. Ulubionym jego nauczyciem był Francesco Alciato, którego współcześni dla odróżnienia od stryja, sławnego prawnika Andrzeja Alciato, powszechnie Alciatinem zwali. Przyjaźń św. Karola z nim przetrwała uniwersyteckie lata, a powołanie późniejsze na dwór papieski i kapelusz kardynalski zawdzięczał Alciatino wpływom wdzięcznego ucznia. Znajomi młodego Boromeusza z tej epoki jego życia nie odgadywali w nim zresztą jeszcze przyszłego mówcy i działacza, bo skupiony, zamknięty w sobie i może wskutek przyrodzonej, zczasem dopierozbytej trudności w wysłowieniu małomówny, zdawał się być raczej powolnego umysłu. Ale powagą jednał już wtedy sobie poszanowanie, a dobrocią zniewalał serca. Niejednym rysem zapowiadał zaś już wówczas przyszłe cechy męskiej swej organi-

zatorskiej natury, kiedy np. prosząc ojca o odwołanie dodanego mu niedoleźnego mentora, pisał o nim w charakterystycznym zwrocie, iż „człowiek ten nawet rozkazywać nie umie”.

Śmierć ojca, która przypadła na czas jego pobytu w Pawji, przerwała mu nagle nauki. Aczkolwiek latami od brata Fryderyka młodszy, ale rozsądkiem i dojrzałością starszy, musiał na życzenie rodziny zająć się podziałem i zarządem ojcowskiej spuścizny. Chwila to była dla niego ciężka, bo z wielu stron zastawiano sidła, aby go wyrwać z duchownego życia i wciągnąć w wir świata, do którego mu nazwisko, położenie i majątek naościęz otwierały wrota. Nie obeszło się nawet bez brutalnych zasadzek, jakie odpowiadały ówczesnemu zepsuciu. Ale wszystkie pokusy odbijały się jak o puklerz, o nieskazitelność jego czystego serca. A jakby dla stwierdzenia, że inną chce iść drogą i że inne go czekają zadania, obok porządkowania ojcowizny zabrał się on właśnie w tejże chwili do pierwszego swojego dzieła naprawy kościelnej: należące do niego, a podupadłe opactwo św. Gracjana poddał surowej reformie, zwracając klasztor ku pierwotnej regule i dyscyplinie św. Benedykta. Dochody zaś płynące z tego beneficjum oddzielał sumiennie od innych i poświęcał je wyłącznie na rozliczne jałmużny.

Po załatwieniu obu spraw, uporządkowaniu schedy po ojcu i dokonaniu reformy w opactwie, stały zawsze w przedsięwzięciach, powrócił znów do



Pawji, aby tam ukończyć rozpoczęte nauki. Ale słabego od dzieciństwa i aż do końca zdrowia, zaniemógł ciężko i powtórnie przerwać musiał pracę. Niezmierna wstrzemięźliwość, granicząca niemal z głodzeniem się, była zwykłą jego w każdej chorobie kuracją, którą sam sobie przepisywał. To też lud medjolański, przechowujący jak wszyscy Włosi tak żywo wszelką tradycję, do dziś dnia jeszcze każdą ostrzejszą dietę „lekarstwem boromeuszowskim” zowie. Lekarze zalecali choremu studentowi rozrywkę. Szukał jej tylko w muzyce, bo ze wszystkich sztuk właśnie ta, najbardziej uduchowiona, najwięcej też jego usposobieniu odpowiadała. Miał to później na własną chwałę dowieść, kiedy brał w opiekę wielkiego, a zapoznanego Palestrinę.

Dźwignąwszy się z niemocy, po tych kilkakrotnych niedobrowolnych przerwach skończył św. Karol w dwudziestym drugim roku życia studia prawnicze. Promocja, której dokonał Alciatino, odbyła się uroczyście wśród tłumnego udziału mistrzów i scholarów starożytnej szkoły, przybyłych dla uczczenia dostojnego laureata. Alciatino żegnał go czule, a z promyka słońca, który przedarł się przez pochmurne niebo i padł w chwili promocji na czoło młodzieńca, snuł życzenia, aby podobny blask opromieniał zawsze dalsze losy ukochanego ucznia. Życie stało teraz przed nim otworem, a o podstawie życiowej pracy wyroki Opatrzności odrazu miały rozstrzygnąć. Bo właśnie

kiedy kończył studia, zebrani w Rzymie na conclave kardynałowie szukali następcy w miejsce zmarłego w sierpniu 1559 roku Pawła IV. Conclave trwało długo, i dopiero pod sam koniec grudnia rozeszła się w Medjolanie przez wszystkich jego mieszkańców radośnie powitana wieść, że wybór świętego kolegium padł na ich ziomka; w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia wstąpił był Giovan Angelo de' Medici, Medjolańczyk i rodzony wuj św. Karola, jako Pius IV na Stolicę Apostolską.

III.

Sobór trydencki; Paweł IV.

Tymczasem od urodzenia Karola Boromeusza aż do końca lat jego nauki i wejścia na szerszą widownię świata, cztery z kolei minęły pontyfikaty i sobór był się już po dwakroć zebrał w Trydencie, aby po dwakroć doznać przerwy. Nie można spełnienia zadań życiowych św. Karola należycie ocenić, nie uprzytomniwszy sobie wprawdzie choćby pokrótce ewolucji, jaką reforma Kościoła przez ten czas bądź pod wpływem osobistym następujących po sobie z kolei papieży, bądź wskutek idei soborowej przeżyła. Pierwszy okres soboru za rządów Pawła III był szczególnie do przetrwania trudny. Otwarty w trzecią niedzielę adwentu 1545 roku, musiał odrazu walczyć ze złą wolą protestantów, a z brakiem dobrej woli cesarza. Bo Karol V nie ufał Pawłowi III, nie wierzył w szczerą chęć reformy, a wskutek antagonizmu z Francją dopatrywał się podejrzliwie we wszystkim wpływów francuskiego dworu, który ze swej strony wrogi był od początku soborowi zebranemu w granicach cesarstwa. Prócz tego cesarz, który przedtem nalegał usilnie o zwołanie go, obawiał się teraz, że sobór zaogni jeszcze bardziej jątrzącą się już i tak

ranę w organizmie niemieckich jego dzierżaw nowem podrażnieniem protestantów, zszeregowanych właśnie przeciw niemu w związku szmalkaldzkim. To też z szczególnem wystąpił żądaniem, aby sobór odłożył na bok kwestje dogmatyczne, a zajął się najpierw tylko reformą wewnętrzną. Papież się temu sprzeciwił, bo rozumował słusznie, że wobec szybkiego wzrostu protestantyzmu jasne i stanowcze określenie zaczepionych dogmatów było niezbędne, a że ograniczając się do reformy, musiałyby stawać niejako w roli oskarżonego przed nowatorami w roli sędziów. Połączenie od początku obu zadań ratowało więc powagę Kościoła i świadczyło równocześnie o szczerości zamiarów papieskich.

Dzięki temu stanowisku, które zajął Paweł III, w ciągu dziesięciu sesyj piętnastomiesięcznego swego trwania już w tym pierwszym okresie spełnił sobór doniosłe dla Kościoła zadanie: orzeczeniami dogmatycznymi o znaczeniu Tradycji obok Pisma świętego, o grzechu pierworodnym i jego skutkach, o Sakramentach i zwłaszcza o usprawiedliwieniu, jasno wytkniętą granicą oddzielił zasady wiary katolickiej od błędów nowatorskich; szeregiem zaś dekretów, zmierzających do naprawy życia duchownych, mianowicie dekretem bodaj najważniejszym, przypominającym biskupom obowiązek rezydencji ich na stolicach, zakresił podstawowe wszelkiej reformy warunki.

Zaraza, która wybuchła z początkiem roku 1547 w Trydencie, a zabierała już ofiary i z grona ojców

soboru, niemniej zaś ciągly nacisk ze strony zbyt bliskiego, bo w Innsbrucku naówczas rezydującego cesarza, skłoniła w marcu tegoż roku zebranych biskupów do przeniesienia się z Trydentu do Bolonji. Groźne protesty cesarza przeciw takiemu opuszczeniu jego dzierżaw, tem ostrzejsze, że Karol V świetnem zwycięstwem odniesionem właśnie nad związkim szmalkaldzkim pod Mühlberg, miał narazie w Niemczech wolne ręce, zakwestjonowanie przez niego ważności obrad soborowych w Bolonji, wreszcie wzrastające nieporozumienie pomiędzy nim a Pawłem III na tle polityki domowej Farnesów, zahamowały doreszty prace soboru. Papież wzbraniał się długo, ale gdy biskupi ze stronnictwa cesarskiego, którzy pozostali w Trydencie, jęli grozić samowolnem podjęciem tamże na nowo obrad, i widmo dwóch soborów, a więc schizmy, stanęło mu przed oczyma, przeląkł się i z początkiem 1548 roku ogłosił odroczenie soboru.

Dalszą sesję zwołać miał już jego następca. W rok po zawieszeniu soboru umarł bowiem Farnese, a na Stolicę Apostolską wstąpił Juljusz III, ten sam, który jako kardynał del Monte przewodniczył soborowi w pierwszym jego okresie. Ani zdolnościami, ani doświadczeniem nie dorastał on poprzednika. Miał atoli nad nim niezaprzeczenie tę jedną wyższość, że nie prowadził szerszej polityki rodzinnej, która Pawłowi III tyle nieraz przysparzała trudności. Rola jego także i pod tym względem była łatwiejsza, iż wzrastająca aż do

końca niechęć Karola V do Pawła III urwała się z tegoż śmiercią i nie przeszła na następcę. Łątwiej mógł więc Juljusz III spełnić życzenia cesarskie i zgodzić się na powrót soboru do Trydentu. Do Bolonji bowiem przenieśli się byli kardynałowie także i z obawy, że bardzo już w latach podeszły Paweł III umrze podczas soboru i że conclave zbierze się wtedy w Trydencie na ziemiach cesarza i pod jego samowładnym a bezpośrednim wpływem. Teraz to niebezpieczeństwo minęło, i droga była wolna. Dlatego już w drugim roku swych rządów mógł Juljusz III otworzyć jedenastą sesję soboru ponownie w Trydencie.

Ale przecież i tym razem nie mógł sobór skończyć zadania i dobiec spokojnie kresu. Bo jak przez całą połowę XVI stulecia, wśród nierozegranych zapasów Habsburgów z Walezjuszami zbliżenie się Stolicy Apostolskiej do jednych, wywoływało automatycznie wrogi odruch drugich, tak i teraz, z chwilą gdy papież ustąpił życzeniom cesarskim co do siedziby soboru, zagroził Henryk II natychmiast utworzeniem niezawisłego patriarchy francuskiego. I tak znów widmo schizmy, która przedtem podnosiła głowę w jednym obozie, z drugiego teraz Rzym straszyla. Oprócz tego przybyli tym razem osobiście do Trydentu wysłannicy protestancy, stwierdzili ostro swą niepojednawczość, stawiając trzy dalekonośne żądania, a mianowicie, aby znieść wszystkie dotychczasowe orzeczenia i dekrety soboru, i poddać je pod ponowną dyskusję,

aby na wzór synodów w Bazylei i Konstancji uznać wyższość soboru nad papieżem i wreszcie ażeby zwolnić biskupów od składanej papieżowi przysięgi. Wystawić sobie łatwo, jakie ten wśród soboru rozbrzmiewający, w żądaniach takich zawarty nowy protest wywołać musiał wrażenie. Spotęgowała zaś jeszcze ogólne zniechęcenie nadeszła prawie równocześnie wieść, iż Maurycy Saski, najsilniejszy dotąd z grona książąt niemieckich stronnik cesarza, napadł w zмовie z Francją znie-nacka Karola V, który bezbronny i chory, umknął z Innsbrucku w mrokach nocnych poza Alpy. Wypadki te bliskiemu Trydentowi nie miały grozić niebezpieczeństwem: nie wiedziano, czy i gdzie się książę Maurycy zatrzyma i czy nie zechce ruszyć dalej na południe. Wszczął się popłoch i szczególnie biskupi niemieccy, zatrwożeni o losy swych stolic, tłumnie poczęli sobór opuszczać. W tym stanie rzeczy nie pozostało legatom papieskim nic innego, jak znów obrady przerwać i odroczyć. Niemniej jednak i ten stosunkowo dość krótki soborowy okres nie był płonny: powstał kanon o Eucharystji, ustalono w dalszych orzeczeniach naukę o Sakramentach i przyjęto szereg dekretów zaostrzających dyscyplinę kościelną.

Ale gwałtowne wystąpienie protestantów na soborze rozwiało chyba doreszty nadzieje Karola V i tych wszystkich, którzy się jeszcze łudzili, że zdołają zatamować prąd reformacji i zwrócić go do wspólnej macierzystej rzeki. Teraz wypadło

się już liczyć jasno z bolesnem, lecz dokonaniem rozdarciem. Dobrą bez wątpienia tego poczucia stroną było zamknięcie tak niebezpiecznej w rzeczach wiary drogi do kompromisów i prowizorjów. A właśnie do takiego środka uciekł się był Karol V przed kilkoma dopiero laty, kiedy w tak zwanem *interim* cesarskiem przedłożył samowolnie świeckiemu sejmowi tymczasowy zarys reformy Kościoła i przepisów czysto kościelnych, tworząc jakąś z natury rzeczy w zarodku poronioną, z katolicyzmu i protestantyzmu sklejoną religję. Z innej jednakowoż strony skutkiem tego nowego protestu nowatorów na soborze i wynikłego stąd powszechnie przekonania o niemożliwości przyjscia do zgody, był pokój religijny zawarty w r. 1555 w Augsburgu, pokój, który oznaczał w gruncie kapitulację Karola V przed protestantami.

W tych warunkach reforma wewnętrzna wysunęła się znowu na pierwszy plan jako wyłączne i niemal jedyne już z bliższych zadań Kościoła. Nie zdoławszy nawrócić zbuntowanych do spójni, Kościół musiał teraz dźwigać to, co wewnątrz w społeczności katolickiej dźwignąć się dało. Jak głębokiem było to poczucie, tego dowiodły wybory dwóch po zgonie Juljusza III w krótkim przeciągu czasu następujących po sobie papieży. Pierwszy z nich, wyniesiony w kwietniu 1555 r. na Stolicę Apostolską Marcei II Cervini, był według świadectwa współczesnych żywym uosobieniem naprawy kościelnej. Przykładny, skromny, uczony, pełen

rozwagi i miary, wzbudzał on powszechną cześć i zaufanie. Upatrywano w nim tego, który dzieło soboru najlepiej na nowo podejmie: stał był swego czasu przy otwarciu obrad trydenckich jako legat Pawła III; mniemano teraz, że może on jeden do pomyślnego końca zdoła je doprowadzić. Jakim był, tego dowiódł odrazu w stosunku do krewnych. Już poprzedników swych gromił śmiało za zgubny ich nepotyzm. Teraz natychmiast po swoim wyniesieniu na stolicę surowo zakazał własnej rodzinie przybyć do Rzymu. I pod tym względem zapowiadał więc nową, lepszą erę. Ale śmierć położyła nagły koniec rozbudzonym powszechnie nadziejom. Wśród ogólnego żalu, po dwudziestodwudniowych tylko rządach umarł Marceili II, a współcześni biadali, „że świat nie był takiego człowieka godnym” i przypominali wiersz Wergiljusza na zgon innego Marcellusa, „że los go tylko chciał pokazać światu”.

Drugim papieżem wybranym w tym samym roku 1555 był Paweł IV Caraffa.

Kto zwiedzał w Rzymie piękny kościół dominikański Santa Maria sopra Minerva, tego niezawodnie uderzył w kaplicy św. Tomasza, gdzie Filipino Lippi roztoczył na ścianie wspaniałą apoteozę wielkiego Akwinaty, umieszczony po lewej stronie grobowiec Pawła IV. Dziwna ta w swym surowym majestacie postać o zapadłych pod wysokiem czołem w głąb oczach, o wychudłych, długą brodą obramionych policzkach i zaciśniętych jakby kurczem wargach, robi przenikające wrażenie, nie

błogosławiącego starca, ale jakby grożącego upioru. Znawcy zarzucają pomnikowi zbyt nierealizm, uważają go za dzieło przekwitnięcia i upadku sztuki. Lecz historyk znajdzie w nim wierne odtworzenie takiego Pawła IV, jakim się on zarysowywał na tle dziejów papieżstwa, gdzie w długim szeregu arcykapłańskich postaci niejednym rysem przypomina wielkich swych poprzedników, Hildebranda lub Innocentego III, Bonifacego VIII lub Juljusza della Rovere.

Z Neapolu, z pod stóp Wezuwjusza, gdzie miał swą siedzibę możny i starożytny ród Caraffów, wyniósł on tę wulkaniczną naturę, która go cechowała przez całe życie. Szedł przez nie czysty, śmiały i nieugięty, surowy dla drugich, ale i dla siebie, a zapatrzony w jeden cel tylko: w naprawę upadłego Kościoła. Od zawiązania w Rzymie bractwa Bożej Miłości aż do założenia wspólnie z Kajetanem z Thiene zakonu teatynów, od zarządu diecezji w Chieti, potem w Neapolu aż do późniejszej pracy w kongregacjach kardynalskich, nie podjął przez prawie pół wieku żadnego zadania reformy, na którym nie byłby on wyrył znamienia potężnej swej indywidualności. Ale w działaniu zawsze gwałtowny i bezwzględny, nie dbał o ludzi i nie umiał ich sobie jednać. To też gdy wybór padł na niego, siedmdziesięcioośmioletniego starca, nie liczącego nigdy w kolegium kardynalskim przyjaciół, upatrywał on w tem wyłączne dzieło Ducha Świętego, co wzmogło tylko jeszcze jego górne

pojęcie o znaczeniu pontyfikatu. Zapragnął wywyżżyć papieską godność ponad wszystkie inne władze świata, zarówno w małych jak i w wielkich rzeczach, czy to gdy żyjąc i nadal życiem mnicha, trawiąc dni i noce w odosobnieniu na modlitwie i pracy, roztoczył wokół siebie w publicznych występach przepych wspaniałego dworu, czy kiedy stroniąc dotychczas od polityki, rzucił się nagle w jej wir i podjął bez wahania walkę z przemocą hiszpańską. Bo domu austriackiego i Hiszpanji, depczących północne i południowe Włochy, nienawidził z całą namiętnością swej włoskiej duszy. Sam zwykł był porównywać Włochy do pięknego instrumentu, na którym — mawiał — cztery w dzwięcznym zespole winny być rozpięte struny: Rzym, Neapol, Medjolan i Wenecja. Karolowi V nie mógł więc darować zakłócenia tego wymarzonego politycznego porządku, tak jak w dziedzinie religijnej wytykał mu zbytnią uległość wobec reformacji, a zbyt śmiało narzucanie Kościołowi własnej cesarskiej woli. Tylko wskutek przedawnionych pojęć średniowiecznych nie umiał się on liczyć z warunkami, w których żyć mu przyszło. Nie pojmował, że na nowe podjęcie hasła *Juliusza II fuori i barbari* — precz z barbarzyńcami — było już za późno. A właśnie temu hasłu poświęcił wszystko, nawet zasady. Bo on, który całe swoje życie na walkę z zakorzenionymi w Kościele nadużyciami poświęcił, który dlatego też poprzednikom swym nepotyzm najostrzej wytykał,

sam się teraz własnymi nepotami otoczył i jał ich bez miary na swoją i Kościoła szkodę wywyższać. Nie ufał bowiem kardynałom, z których wielu należało do stronnictwa cesarskiego i pragnął stworzyć sobie oddane, ślepe narzędzie z krewnych na walkę z Hiszpanją. Była to sroga pomyłka, bo rządy świeckie w Rzymie przeszły w niegodziwe ręce Carla Caraffy i jego brata, zuchwałych i ambitnych intrygantów, którzy poczęli wyzyskiwać bezwstydnie zaufanie zaślepionego w nich starca, odgraniczając go od ludzi, aby tem śmieiej, bez obawy skarg i donosów na swoją tylko korzyść działać. Polityka ich prowadziła zaś Rzym do zguby: o mało nie powtórzył się po latach trzydziestu okropny *sacco di Roma*. Alba stał już na czele wojsk hiszpańskich pod murami wiecznego miasta, które było bezbronne. Tylko skrupuły Filipa II, który był świeżo rządy po ojcu objął, uratowały w ostatniej chwili Rzym i papieństwo. Ale w pokoju zawartym po dwuletnich walkach w Cave doznał Paweł IV dotkliwego upokorzenia: Kampanja rzymska i państwo papieskie były spustoszone, skarb wyczerpany, władza świecka Stolicy Apostolskiej osłabiona, a Hiszpanie dumniej niż kiedykolwiek rozkazywali we Włoszech.

Gorycz zawodu była dla starego, ale i klęską nieugiętego papieża jakby nowym bodźcem do podjęcia ze zdwojoną teraz energją dawnych zadań reformy. Okres ten, w jego życiu ostatni, zaznaczył się gromem, który w nepotów uderzył. Otwo-

rzono nareszcie papieżowi oczy na ich knowania w celu wykrojenia sobie księstw niepodległych, na ich gwałty i występne życie. Jak przedtem nad miarę ich wynosił, tak teraz postanowił zetrzeć ich na proch: wezwawszy w pełnym konsystorzu Boga na świadectwo, że tajonych mu zawsze knowań owych niegodziwców nie znał, strącił ich z dzierżonych posad i urzędów, wyzuł z piastowanych godności i sromotnie wygnał z Rzymu. Gwałtowny jak zawsze godził przy tem w winnych i w niewinnych. Ale ten bezprzykładny pogrom nepotyzmu miał być dla Kościoła zbawienny: z Carafami zniknęli nepoci pokroju Riariów, Borgiów i Farnesów na wieki.

Tymczasem zaś dzieło reformy szybkie robiło postępy. Paweł IV był człowiekiem absolutnej, prędkiej decyzji. To też obywało się bez długich narad, a miejsce zbytnich słów i skryptów zajęły teraz rozkaz i wykonanie. Do obowiązku rezydencji zmusił papież biskupów bawiących w Rzymie, odsyłając wszystkich do przynależnych diecezji. Biada temu, który śmiał się ociągać. Na wędrownych mnichów z upadłych zakonów, którzy byli plagą owej epoki, kiedy włóczęc się z kąta w kąt, z kraju do kraju, szerzyli błędne nauki i zgorzenie, padł postrach. Rozkazano im wracać natychmiast do klasztorów; kto nie usłuchał odrazu, tego chwytano i wtrącano do więzienia, lub skowanego słano na galery. Przeciw symonji, temu rakowi toczącemu oddawna Kościół, rozpoczęła się bez-

względna walka, i najsurowsze kary trybunałów papieskich padały na przestępców, byle złe wypłenić z korzeniem. U góry zaś, w kolegium kardynalskiem, zerwał Paweł IV ze zgubną ustępliwością wobec książąt świeckich i z protekcją dworów zagranicznych przy mianowaniu nowych purpuratów: odtąd o godności purpury rozstrzygać miała zasługa. Że wszystkie te środki naprawy stosowane były nieraz z nieubłaganą surowością, że inkwizycja, to twarde w rękach Pawła IV narzędzie, raniła czasem dotkliwie i niewinnych, jak np. niesłusznie posądzanych o brak prawowierności znakomitych kardynałów tej miary, co Reginald Pole lub Giovanni Morone, na to się zgadzają świadkowie katolicy tak niepodejrzani, jak Seripando lub ubolewający nad innemi zarządzeniami Caraffy Canisius. Co więcej jezuita Gonçalvez opowiada, iż rozmawiał właśnie z św. Ignacym z Lojoli, kiedy przyniesiono z Watykanu wiadomość, że się conclave po śmierci Marcelego II skończyło i że wybór padł na kardynała Caraffę. Św. Ignacy nie rzekł ani słowa, ale Gonçalvez zauważył, jak po wymienieniu nazwiska nowego elekta jakby cień po jego obliczu przeleciał. I rzeczywiście sam Święty zwierzał się potem wobec zaufanych, jak na tę wieść „zadrżały w nim wszystkie kości”. Bo Caraffę znał oddawna, więc słusznie się zatroskał o dzieło swego życia, o młode Towarzystwo Jezusowe, które miało niejedno także od nieufnego wobec każdej nowości papieża wycierpieć.

A przecież Paweł IV był człowiekiem niezwykłej miary, i rządy jego zaważyły jak mało które na losach Kościoła. Namiętnością reformacji tłumaczy się poniekąd gwałtowność odporu. Na stosunki panujące w Kościele, w jakich go zostawiły schyłek średnich wieków i epoka Odrodzenia, nie mogły zaś żadną miarą wystarczyć półśrodki, i dlatego właśnie, że Paweł IV ten stan oplakany w ciągu długiego żywota nawylot poznał, stał się on najsurowszym z papieży. Ale dopiął celu, bo po jego rządach, jak po burzy, wionęło świeższe, orzeźwiająca społeczność katolicką powietrze. Tylko nie dziw, iż kiedy bramę Kościoła przed starymi nadużyciami i nowymi błędami zatrzasnął, uczynił to z taką przyrodzoną gwałtownością, że wśród współczesnych i w najsprawiedliwszych „zadrżały wszystkie kości”, a odgłos jak grzmotu pobrzmiewa w historii.

IV.

Polityczna i administracyjna działalność kardynała Boromeusza.

Młodzi Boromeusze byli w Medjolanie, gdy tam po śmierci Caraffy wieść o wstąpieniu na Stolicę Apostolską Piusa IV nadeszła. Wszystkich oczy zwróciły się natychmiast ku nim. Bo chociaż nowy papież licznych miał krewnych i powinowatych, jako to po ojcu Medicich, po matce Serbellonich, a przez małżeństwo jednej z sióstr, hrabiów na Hohenems, wiadano powszechnie, że nikt z rodziny tak mu bliskim nie był, co synowie szwagra Giberta Boromeusza i ukochanej siostry Margherity. Wróżono im z tego powodu świetną przyszłość, owo stanowisko uprzywilejowane nepotów, do jakiego ubiegłe czasy świat przyzwyczały, i zwykłą rzeczą ludzkich koleją poczęto się ubiegać o ich względy. Na czele licznej drużyny patrycjuszów medjolańskich podążył starszy brat Fryderyk natychmiast do Rzymu. Św. Karol nie ruszył się z Medjolanu, a wywyższenie drogiego mu opiekuna święcił tylko gorętszem w tych dniach polecaniem nowego papieża oraz własnych losów Bogu. Ale wnet wyraźny rozkaz Piusa IV powołał i jego na dwór papieski.

Rzym drgał jeszcze od wspomnień rozruchów wybuchłych po zgonie Pawła IV, a pomny twardej jego rządów, witał radośnie nowego papieża, którego wybór łagodniejszą zwiastował erę. Bo Pius IV był z charakteru zupełnie od poprzednika odmienny, co wywoływało dotąd pomiędzy nimi częste nawet nieporozumienia, a teraz nowemu papieżowi z pewnością ułatwiło elekcję. O ile Caraffa był surowy, szorstki i nieprzystępny dla ludzi, o tyle Medici, zawsze pogodnego usposobienia, był uprzejmy dla wszystkich i udzielał się łatwo, choć umiał warować sobie cześć należną Namiestnikowi Chrystusowemu. Wykształcony, mówiący wyborową łaciną, chętnie się otaczał uczonymi, których na dwór swój ściągał; przy załatwianiu zaś spraw bieżących, jako jurysta z zawodu, zajmował się więcej stroną prawniczą rzeczy, pozostawiając teologiczną wyznaczonym na to kongregacjom. Od młodu, bo od panowania Klemensa VII w służbie kurjalnej, poznał był z kolei w rozmaitych misjach dyplomatycznych całe niemal Włochy, a poza Alpami Niemcy i Węgry. Posiadał więc potrzebną znajomość świata, doświadczenie i umiejętność obchodzenia się z ludźmi. To też posłowie zagraniczni chwalili sobie szczególnie jego sąd jasny i spokojny, który im wspólne traktowanie publicznych spraw ułatwiał. Lud zaś cieszył się widokiem papieża, spotykanego często, konno lub piechotą, ze szczupłą tylko świtą na ulicach Rzymu, i nie broniącego nikomu przystępu. A z prostotą w poźyciu łączył on umiarkowanie w polityce,

choć naogół skłaniał się raczej w stronę domu austriackiego. Wpływało na to wybitne stanowisko, jakie brat jego, margrabia di Marignano, w służbie cesarskiej zajmował, oraz stosunki ze szwagrem, hrabią Hohenems i jego arulańską rodziną, rozrosłą później, w jednej gałęzi pod nazwiskiem Altemps także we Włoszech. Lecz właśnie to ciążenie ku Habsburgom budziło zapewne ku niemu niechęć Pawła IV. To też ostatnie lata rządów swego poprzednika Medici często spędzał na dobrowolnem wygnaniu poza Rzymem, przeważnie w rodzinnym Medjolanie, gdzie lud go uwielbiał z powodu wielkiej jego dobroczynności, a dokąd go ciągnęło przywiązanie do Boromeuszów.

Ukochanych siostrzeńców przyjął teraz w Rzymie z otwartymi rękami. Łaski i godności poczęły obficie na nich spływać: starszemu Fryderykowi przypadło w udziale margrabstwo di Oria, a wuj wyswatał go niebawem z Wirginją della Rovere, córką Gwidobalda II, księcia na Urbinie. Z siostrich zaś zkolei wydał Kamillę za Cezara Gonzagę z Guastalli, syna słynnego Ferranta, Annę za Fabrizia Colonnę, a Hortensję za cioteczne go brata, Hannibala hrabiego Hohenems. Najwięcej jednak wyszczególniał Pius IV młodszego siostrzeńca, Karola, szczególnie odkąd po wczesnym zgonie starszego Fryderyka, całe swoje przywiązanie do Boromeuszów w nim jednym skupił. Naprzód, w kilka tygodni po wstąpieniu na Stolicę Apostolską obłókt dwudziestodwuletniego młodzieńca w purpurę kar-

dynalską. Dzisiejszym wyobrażeniom tak wczesne odznaczenia hierarchiczne wydają się co najmniej anormalne. Wówczas były one w zwyczaju i nie raziły nikogo. Czy słusznie i czy nie było to często nadużyciem, to rzecz inna. Ale zapominać nie można, jakie te żywoty ludzi z XV i XVI wieku bywały przeciętnie krótkie i jak rychło wyrabiały się zwykle ówczesne indywidualności. Wszak dość wspomnieć takiego Pica della Mirandola, który w dwudziestym trzecim roku życia 900 swoich słynnych też z najszerszych dziedzin wiedzy Inocentemu VIII w Rzymie przedkładał; takiego Gastona de Foix, który również licząc dopiero lat dwadzieścia trzy, wiódł powierzoną mu przez Ludwika XII armję francuską na bitwę mającą rozstrzygać o losach świata, bitwę pod Rawenną, w której zwyciężył i poległ; albo Rafaela, który miał dopiero lat dwadzieścia pięć, kiedy mu Juljusz II zlecił udekoroowanie ścian watykańskich! *Vita brevis* zdawało się być hasłem wybujących natur tej epoki, w złem jak w dobrem, w używaniu jak w obowiązkach, i dlatego to życie się tak prędko wówczas rozpoczynało, żeby wnet w całej pełni rozkwitnąć i często, zwykle niemal, przedwcześnie zawiędnąć.

Ale kardynał Boromeusz, pomimo młodego wieku, tem właśnie zaraz zupełną zmianę wobec przeszłości i zwyczaju zaznaczył, że stanowisko nepota, na które dawniej wszyscy z zazdrością spoglądali i w którym upatrywano szczyt powodzenia

on pierwszy nie za przywilej, ale za obowiązek poczytał. O urzędy i godności się nie ubiegał, lecz przyjmując je na rozkaz papieża, przystępował natychmiast z żarliwością do powierzonej mu pracy. Przypadł mu zaś w udziale z wszystkich urzędów kurjalnych urząd o najszerszym zakresie, bo sekretarjat stanu. Na to stanowisko potrzebował papież człowieka oddanego mu zupełnie. Że wybór padł na Karola Boromeusza, było to szczęściem dla Piusa IV i jego rządów. W kołach kurjalnych i dyplomatycznych z niedowierzaniem jednak, prawie z niechęcią nowego sekretarza stanu witano. Kierunek nawskroś duchowny, życie surowe, powaga i skromność różniły go bowiem tak rdzennie od dotychczasowych nepotów papieskich, do których świat był przywykły, że nie wiedziano zrazu, jak z tym zamkniętym w sobie człowiekiem obcować, a mówiono pocichu, że zadaniu nie zdoła sprostać. Ale on wnet dowiódł, że nowy typ, który uosobiał, odpowiadał lepiej potrzebom Kościoła, aniżeli typ ludzi z epoki Odrodzenia. — *E un h u o m o d i f r u t t o e n o n d i f i o r e*, — „jest on człowiekiem owocnym, a nie kwietnim,” pisał o nim już w tej epoce jeden z towarzyszków z kolegium kardynalskiego i w tych słowach określał najtrafniej charakter jego i wartość.

Korespondencja papieska, przechodząca przez jego ręce, bo listy do legatów i nuncjuszów we własnym nawet imieniu wystosowywać i podpisywać miał prawo, wprowadzała go zarówno w szeroką politykę europejską, jak i we wszystkie sprawy

kościelne; obok tego spoczywał w jego rękach zarząd państwa kościelnego, dla którego stworzył sobie przyboczną radę, związek późniejszej stałej konsulty. W pierwszym zajęciu nabierał tego doświadczenia, tej znajomości ludzi i rzeczy, które go sposobily do wybitnej roli, jaką miał potem w czasie soboru trydenckiego odegrać; w drugim wyrabiał w sobie zdolności administracyjne, które w epoce posoborowej, w zarządzie własnej diecezji zasłynął. Narazie bowiem w nadanem mu prawie jednocześnie z purpurą arcybiskupstwie rodzinnego Medjolanu, rządy tylko przez generalnego wikariusza sprawował. Było to ciężką dla niego próbą, gdyż sercem rwał się do osobistej pasterskiej pracy, do której szczególne czuł powołanie, a jako gorący poplecznik obowiązku rezydencji biskupów w diecezji bolał nad oddaleniem od własnej i kilkakrotnie o pozwolenie przeniesienia się do niej prosił. Papież, który go w Rzymie i u boku swojego mieć pragnął, nie godził się atoli na to i odmawiał, więc z posłuszeństwa musiał się św. Karol jego woli poddać. Ale pomimo nawału pracy w ciągłej ze swym wikariuszem w Medjolanie, Ormanettim, pozostawał styczności i instrukcjami przesyłanemi z Rzymu do Medjolanu rozpoczynał już wówczas ową reformę diecezji medjolańskiej, która następnie służyła za wzór wszystkim innym biskupom.

Od początku bowiem całe jego działanie publiczne skierowane było ku reformom. Czego się

tknął, to naprawiał i doskonalił: czy kiedy zaraz na wstępie zabrał się energicznie do zreformowania w państwie papieskim wadliwego wymiaru sprawiedliwości, czy kiedy dbał nie tylko o dobro moralne, ale i o dobrobyt materialny powierzonych jego zarządowi poddanych papieskich, obniżył ceny zboża w spichrzach rzymskich i nałożył surowe kary na kupców za wyzysk zubożałego długą wojną i niepokojami pierwszej połowy XVI wieku rzymskiego ludu. Wszystko się o niego opierało i w przedpokojach jego w Watykanie roilo się od interesantów, których na osobistych przyjmował posłuchaniach. Że zaś, obok zajęć w sekretarjacie papieskim i w kancelarji zarządu papieskiego państwa, uczestniczył z woli papieża i w wielu ważniejszych kongregacjach kardynalskich, mianowicie w tych, które się zajmowały reformą kościelną, więc dni całe bezustanną wypełniał pracą. To też służba jego już w tej epoce donosiła rodzinie Boromeuszów, że młody kardynał siły w zbyt ciężkiej robocie tera, że nie zostawia dość czasu na sen i posiłek, i że już nawet zdrowie jego szwankować poczyna. On sam nie taił „niezmiernych wysilań”, o których w listach z owych czasów wspomina, ale nie ustając w nich, stwarzał sobie przeciwnie obok urzędowych inne jeszcze zajęcia. I tak oddawał się mianowicie z zamiłowaniem odnawianiu i upiększaniu różnych świątyń rzymskich, jako to obu swych tytularnych z kolei kardynalskich kościołów, najpierw św. Marcina, potem św. Praksedy, osobnem

uczuciem ukochanej przezeń bazyliki S. Maria Maggiore, św. Marty i innych. Było to jakby zewnętrznym wyrazem trawiącego go ognia naprawy kościelnej, a ruch ten przez niego wszczęty, i wśród innych członków świętego kolegium wnet znalazł naśladowców, i wiele kościołów rzymskich zawdzięcza ratunek od zupełnej zagłady odnowieniom w tej właśnie epoce podjętym. Za jego także namową powstało najdoskonalsze dzieło architektoniczne z czasów pontyfikatu Piusa IV w Rzymie: wzniesiony przez tegoż papieża z gruzów termów Dioklejanowskich wedle rysunku Michała Anioła i za ostatniem wielkiego mistrza natchnieniem, wspaniała kościół S. Maria dei Angeli. W tym kościele miał następnie św. Karol Piusa IV pochować, a zapewne z jego wolą spoczął tam również dawny ukochany jego nauczyciel z Pawji, Alciato, którego grób ten piękny napis zdoła: *Virtute vixit, memoria vivit, gloria vivet.*

Pawję bowiem, gdzie nauki skończył, chował kardynał Boromeusz zawsze we wdzięcznej pamięci, a dowiódł tego w tych właśnie latach, spełniając jeszcze w czasie studjów powzięty zamiar założenia w tym starym szkolnym grodzie słynnego Kolegium Boromeuszowskiego. Był to wielki konwikt, który uboższym ułatwiać miał przystęp do nauk, a wszystkim poręczać chrześcijańskie wychowanie. Do pierwszych konwiktów w tym zakładzie należał młody podówczas brat stryjeczny założyciela, późniejszy zaś jego następca na stolicy arcybiskupiej

medjolańskiej, drugi z rzędu kardynał Boromeusz, Fryderyk.

W tym rzymskim okresie życia św. Karola, choć o kilka lat później, bo już w posoborowych czasach, łączy się także jego imię z doniosłą z innej zupełnie dziedziny reformą, świadczącą chlubnie o wielostronności jego działań. Ze zeświecczeniem Kościoła świecką się też stała muzyka kościelna. Zapanował powszechnie tak zwany *canto figurato*, pełen sztuk i sztuczek, który nie odpowiadał zgoła treści liturgji i nie licował z powagą nabożeństwa. Ażeby i na tem polu konieczną zaprowadzić zmianę, Pius IV polecił kardynałowi Boromeuszowi, miłośnikowi muzyki, złożyć komisję, która o przyszłości liturgicznego śpiewu miała rozstrzygnąć. Chodziło o wyrok, czy muzyka zdoła dostroić się do religijnych tekstów, czy też ją zupełnie z Kościoła wygnać należy, z pozostawieniem w nim tylko ścisłego i suchego *canto fermo*. Św. Karol zwrócił się w tej sprawie do mistrza, który stał przedtem na czele słynnej *Capella Giulia*, ale wydalony przez surowego Pawła IV jako człowiek świecki i żonaty z kościelnej służby, zapomniany i zapoznany, wśród winnic opustoszałego Coeliusa zaciszny teraz pędził żywot. Mistrzem tym był Giovanni Pierluigi di Palestrina. Gdy mu zlecono napisać trzy msze na próbę, zrozumiał, że chodzi o życie lub śmierć umiłowanej sztuki, bo wedle jego natchnienia rozewrą się lub zamkną dla niej wrota kościelne na

zawsze. To też drżącą ręką położył na manuskrypcie za nagłówek słowa: *Domine illumina oculos meos*, — Panie, oświeć oczy moje. — Dwie pierwsze próby zawiodły. Trzecią zwyciężył. Była to msza ku uczczeniu pamięci papieża Marcelego II, nazwana *Missa papae Marcelli*. Dnia 19 czerwca 1565 r. śpiewano ją po raz pierwszy w kaplicy papieskiej, a Pius IV z uniesieniem zawołał, że tak chyba brzmieć musiały pienia, których św. Jan Apostoł w zachwyceniu słuchał. Muzyka kościelna była uratowana i powołanemu znów na dwór papieski Palestrinie zawdzięczać miała swój dalszy cudny rozkwit.

Podobną opieką otaczał kardynał Boromeusz uczonych, których chętnie wokół siebie gromadził. Subtelny literat Sperone Speroni, łacinnik i poeta Faerno, uczeń Alda Pierre Morin i inni zażywali jego łaski i pomocy, a on sam w rozrywce umysłowej jedynych szukał wczasów. To też po dniach rozdzielonych między pracę a modlitwę, lubił skupiać wokół siebie duchownych i świeckich uczonych, z którymi się wprzód we wspólnej robocie stykał, i z takiego wyborowego grona stworzył sobie rodzaj ulubionej naówczas akademii. Scho dzono się u niego późnym wieczorem w Watykanie na wspólne czytania, wykłady i dyskusje. Zrazu uprzywilejowanymi pisarzami, których dzieła na tych zebraniach roztrząsano, byli stoicy starożytni. Sam św. Karol przedkładał nad innych Epikteta, którego *Manuał* miewał często w rękach i o którym

i w późniejszych latach z wdzięcznością na wiele cennych pobudek wspominał. Z filozoficznych rozpraw przechodzono do teologicznych, z naukowych do praktycznych, dotyczących zagadnień chwili, a w tych dyskusjach, w tej szermierce dialektycznej wyrabiała się wymowa, z której wielu z członków akademji, a i sam św. Karol na kazalnicy potem skorzystał. Zebrania te, zwane *Noctes Vaticanae*, nabierały rozgłosu. Ubiegano się o wstęp jak o zaszczyt. Należeli do tego grona pomiędzy innymi Ugo Buoncompagni, późniejszy papież pod imieniem Grzegorza XIII, dawny ulubiony kardynała Boromeusza mistrz z Pawji, Francesco Alciato, uczeń św. Filipa Nereusza, poeta, improwizator i znakomity łacinnik Silvio Antoniano, wnuk uroczej Izabelli d'Este, a drugi z rzędu kardynał mantuański Francesco Gonzaga, a dalej kardynał Simonetta, który po kilkudziesięciu latach zbierać miał dokumenty do kanonizacji św. Karola, i Carlo Conti, który kontrasygnował w r. 1610 tej kanonizacji bullę.

Na współczesnych robił św. Karol i osobą swoją i sposobem życia głębokie wrażenie. Przebijają to szczególnie w zapiskach posłów weneckich, tych wiernych zawsze kronikarzy XV i XVI wieku, którzy z drobiazgową sumiennością wnikali we wszystko, przyglądali się wszystkiemu i zapisywali każdy szczegół, ażeby dawać swej Rzeczypospolitej prawdziwy obraz stosunków i dokładny wizerunek ludzi. Zatarły się prędko ślady owego lekceważe-

nia, z którym w tych kołach witano młodego kardynała-nepota na wstępie jego kariery publicznej, i już w r. 1563 w następujący sposób opisywał go w sprawozdaniu przedłożonem doży Lorenzowi Priuli poseł Girolamo Soranzo: „Życie jego jest jak najskromniejsze i bez skazy, a religijnem swem zachowaniem daje on wszystkim przykład, jak lepszego dawać chyba nie można. To zaś tem bardziej w nim cenić należy, że w kwiecie wieku jest on wielmożnym nepotem papieskim, bogatym, i to na dworze, na którymby mu nie brakło sposobności do uciech. Zdobywszy stopnie doktorskie przed wyniesieniem wuja na Stolicę Apostolską, objawia on i teraz wielki pociąg do literatury i nauk. Co mu z czasu pozostaje, to poświęca studjom i obcowaniu ze zdolnymi i wykształconymi ludźmi, którzy się codzień niemal u niego schodzą i rodzaj akademji tworzą. W całym działaniu okazuje zdrowy rozsądek, choć pewną powolność myśli, tak jak zresztą i z rysów jego twarzy i ze sposobu postępowania przebija raczej dobra, rzetelna wola, aniżeli żywość ducha. Na posłuchaniach bywa nader łaskawy i mówi z każdym, lecz otoczenie jego pragnęłoby większej hojności w szafowaniu łaskami. Od papieża, który go serdecznie kocha, mógłby wyjednać wszystko, sam woli jednak stosować się do życzeń papieskich. W załatwianiu zadań urzędowych jest wielce sumienny, a o sprawach państwa papieskiego naradza się zawsze z ośmioma prawnikami, którzy się trzy razy na tydzień u niego gromadzą.”

Drugi zaś poseł z tego samego rodu Soranzów, taki wizerunek św. Karola w dwa lata później, a to już po soborze kreślił: „Kardynał Boromeusz liczy dopiero lat dwadzieścia kilka, ale jest słabego zdrowia, bo je studjami, postem, czuwaniem i wstrzeźliwością nadweryzył. Jest on doktorem praw, lecz oddaje się naukom Bożym z rzadką w dzisiejszych czasach gorliwością. Żywot wie dzie najprzykładniejszy, a religijność jego jest tak wielka, że doprawdy przykładem własnym pożyteczniej na dwór rzymski działa aniżeli wszystkie uchwały soboru, bo rzadką to przecież rzeczą, ażeby tak przez papieża ukochany nepot, w młodym jeszcze wieku i pośród pokus dworskiego życia, w takim stopniu siebie i uciechy tego świata zwyciężał. Papieżowi jest zupełnie oddany, ale i papież wielce się z nim i z każdym jego życzeniem liczy, jak się to np. okazało przy ostatniej kreacji kardynalskiej, gdzie przeszli tylko ci kandydaci, których on przedstawił, lub na których się zgodził. On i papież mają zresztą odmienne natury. Ostatni radby go widział weselszym i nie tak surowym w regule życia i w pojęciach. Dwór go mało lubi, bo do czego innego był przyzwyczajony, i narzeka, że kardynał od papieża za mało wyprasza, a z własnego nie dosyć daje. Ale co do pierwszego zarzutu, to uważa on to za rzecz sumienia, co do drugiego zaś, to wszystko co ma, poświęca na jałmużny, na wyposażenie ubogich dziewcząt i na spłatę długów, które mu brat pozostawił.”

Ilekoć św. Karol później te lata spędzone na dworze papieskim wspominał, zaznaczał zawsze, jak go w tym okresie żywota Opatrzność nie po cierniach i głogach, ale drogą zasłaną różami, wśród pomyślności i dostatków wiodła. Lecz dodawał, że wyraźnym celem tych zrzążeń było wpoić weń przekonanie o marności dóbr doczesnych, a podnieść serce ku nieskończonemu dobru niebieskiej ojczyzny. A nie brakowało mu przecież i wtedy cierpień i krzyżów. Najcięższym była strata jedynego brata, Fryderyka, zgasłego wcześniej ku głębokiemu żalowi papieża, który w zmarłym młodzieńcu wielkie pokładał nadzieje. Nie odstępując łoża umierającego do końca, zniósł św. Karol ten cios z poddaniem się wyrokom Bożym. Ale wstrząśnienie musiało być silne, kiedy właśnie w tej chwili postanowił uczynić nowy, stanowczy krok w życiu. Od lat kilku już porał się z myślą, czy ma przyjąć wyższe, kapłańskie święcenia. Ciągnęła go ku temu tęsknota duszy, rozmiłowanej w Bogu i dążącej do coraz większej doskonałości, ale wstrzymywała pokora, owa legendarna *humilitas*, którą obrał za godło życiowe. Długo czuł się niegodnym kapłaństwa, a marzył tylko o uświęcaniu się w cichej, pustelniczej kontemplacji. Teraz po zgonie brata uznał, że godzina rozstrzygająca wybiła, a rozstrzygnięcie zdawało mu się tem pilniejsze, że przecież chciał odrazu zakusy krewnych, którzy właśnie wskutek śmierci margrabiego di Oria zawrócić go pragnęli do życia świeckiego, aby jako naj-

starszy odtąd z rodu Boromeuszów stanął na jego czele i dalej go poprowadził. Przygotowawszy więc wszystko z pośpiechem i w ukryciu, wkrótce po zgonie brata w ulubionej swej bazylice liberjańskiej przyjął z rąk uczonego kardynała Cesi święcenia kapłańskie.

W świętobliwym i dotąd jego żywocie krok ten nie był zwrotem, ale wytknął mu jasno dalszy cel życia, którego drugą połowę miało wypełnić tak wzniośle pojęte duszpasterstwo. Odrazu się też do niego zabrał, a zawsze pokorny, rozpoczął od kazań w małych odległych kościołach rzymskich. Wystawić sobie można zdziwienie dworzan na widok tego pierwszego wpływem i stanowiskiem kardynała, wychodzącego wczesnym rankiem z Watykanu i bieżącego samotnie do jakiego skromnego kościoła na przedmieściach, ażeby tam ludowi głosić słowo Boże. Zdziwienie zaś musiało być tem większe, że w owej chwili przybywało mu w dwójnasób pracy. Albowiem wyteżał właśnie cały swój wpływ i skupiał siły, aby pchnąć dalej i doprowadzić do końca przerwane już dwukrotnie wielkie zadanie soboru.

V.

Pius IV. Dalszy ciąg soboru trydenckiego.

Ósmy rok od zawieszenia soboru dobiegał końca, kiedy Pius IV objął rządy kościelne. Że za poprzedniego pontyfikatu do wznowienia prac soborowych nie doszło, to było wobec absolutnego usposobienia Pawła IV rzeczą naturalną. Nie lubił on długich obrad i nie wierzył w ich skuteczność, a wzdrygał się na samą myśl nieodzownych w ówczesnych warunkach wtrącań się na soborze świeckich książąt do spraw kościelnych. Zresztą ilekroć na prośby z zewnątrz, jak np. na ponawiane nalegania Zygmunta Augusta chętniejszym się nieco zdawał, zaznaczał przecież zawsze zgóry, że jeżeli sobór zwoła, to zwoła go do Rzymu, aby go mieć pod okiem, nie pozwoli mu zaś za nic w świecie radzić i nadal, jak się wyrażał, „wśród protestantów.” Burze z ostatnich lat jego panowania, zatargi z Filipem II i z cesarstwem wykluczyły następnie możliwość zwołania soboru w zupełności.

Inne było położenie Piusa IV. W lepszych od poprzednika stosunkach osobistych z rządami trzech państw, które na dotychczasowe losy soboru wpływały najsilniej, z rządami Niemiec, Hiszpanji i Francji, nie był on napozór równie skrzępowany względami politycz-

nemi. „Chcemy zwołać sobór — odzywał się wkrótce po wstąpieniu na Stolicę Apostolską — pragniemy tego szczerze. W przeciwnym razie moglibyśmy się przebiec i to przez długie lata zasłaniać przed światem przeszkodami, których zaprawdę nie brak. Ale postanowiliśmy przełamać te przeszkody. Niechajby więc sobór naprawiał, gdzie naprawy potrzeba, a to tak dobrze w nas samych, jako i we wszystkich naszych sprawach. Gdybyśmy zaś przytem mieli co innego na oku, krom służby Bożej, to niechby nas Najwyższy za to pokarał.” Potrzeba soboru, którą papież w tak silnych stwierdzał słowach, była tem bardziej nagląca, że wskutek przerw i odroczeń powzięte na dotychczasowych jego dwukrotnych zebraniach uchwały, zawisły niejako w powietrzu i były literą martwą. A właśnie Kościołowi groziły coraz to nowe niebezpieczeństwa: po odszczepieństwie tyłu ziem niemieckich obejmował teraz ruch nowatorski Francję, ruch podsycany przez Kalwina, który z sąsiedniej Genewy kierował reformację na ziemię romańskie; wybuchały jednocześnie zaburzenia w Niderlandach, otwierające i tam wrota kościelne kacerstwu; w Anglii, po krótkiej reakcji katolickiej za rządów królowej Marji, rozpoczynał się krwawy odwet Elżbiety; a na północy, w Polsce, chwiejność Zygmunta Augusta, pokusa rozwodu z niemłą mu małżonką, Katarzyną austriacką, kręactwa biskupa, potem prymasa Uchańskiego i wrastająca przewaga dysydentów lub jawnych ich opiekunów, jak Zborowskich w Małopolsce,

Górków i Opalińskich w Wielkopolsce, a Radziwiłłów na Litwie, socynjanizm szerzony przez Stankara, kalwinizm przez Łaskiego, — wszystko to zapowiadało jakby bliskie zerwanie z Rzymem i założenie narodowego kościoła w Polsce.

Nad utrzymaniem papieża w zamiarze zwołania soboru, nad przynagleniem zamiany zamiaru w czyn gorliwie czuwał kardynał Boromeusz. Obfita jego korespondencja z tej epoki wskazuje, z jaką zapobiegliwością przygotowywał grunt pod dalszy ciąg obrad soborowych, tak jak następnie odzwierciedla ich przebieg. Układy z dworami, ustne przez umyślnych legatów, albo pisemne przez kancelarje papieskie, zółwim atoli postępowały krokiem. Bo właśnie katolickie państwa, których pomocy papież potrzebował w sprawach soborowych, były dla niego raczej zaporą niż podporą. W Niemczech panował prawowierny osobiście, ale słaby i ustępliwy wobec protestantów Ferdynand I, pod którego przewodnictwem, jako zastępcy wówczas jeszcze brata, Karola V, przyszedł był do skutku w r. 1555 tak zwany pokój religijny w Augsburgu, oznaczający zwycięstwo inowierców. Jako głowa świętego imperjum i spadkobierca średniowiecznych tego imperjum tradycyj rościł on sobie zresztą przedawnione prawa do kierowania losami Kościoła, lecz roszczeniom tym dawał wyraz w lękliwem wciąż hamowaniu wszelkiej śmielszej inicjatywy kurji rzymskiej, byle się nie narazić księżętom i poddanym swym protestanckim i nie wywołać broń Boże nowej

ligi na modłę owej ligi szmalkaldzkiej, która za rządów Karola V wichrzyła cesarstwo.

We Francji spoczywały od r. 1559 rządy w rękach kobiecych: za nieletnich synów, zwyrodniałych ostatnich Walezjuszów, rządziła matka ich, chytra i zmienna Katarzyna Medycejska, przesiąknięta duchem intrygi dworów włoskich z epoki Odrodzenia, podporządkowująca zawsze sprawy religijne politycznym, a właśnie w tej chwili przygotowań do soboru, potem rozpoczęcia obrad soborowych, otaczająca taką opieką hugonotów, że na jedenaście tylko lat przed smutnej pamięci nocą św. Bartłomieja, po królewsku przyjmowała na dworze swym w St. Germain en Laye najwybitniejszego współpracownika Kalwina, Teodora Bezę, który w pałacu królewskim miewał kazania i nabożeństwo kalwińskie odprawiał. Wśród zamętu wszczynających się w całym kraju wojen religijnych, wielu biskupów skłaniało się otwarcie ku nowym naukom, inni, w ogólnem rozluźnieniu sumień, z niechęcią odnosili się do Rzymu, a strzegli zazdrośnie tradycyjnych swobód gallikańskich, które owszem usiłowali rozszerzać.

W Hiszpanji wreszcie i w jej rozległych naówczas posiadłościach panował Filip II. Zdawało się, że w nim, w „królu katolickim“ *par excellence*, znajdzie papież rzetelne oparcie. A stało się wręcz przeciwnie, i po tej stronie także polityka soborowa Piusa IV nie na najmniejsze natknęła się odrazu

przeszkody. Bo pomimo swej prawowierności, Filip II sam uważał się niejako za głowę społeczności chrześcijańskiej w swoim państwie. Pochodziło to z odrębnego stanowiska, jakie zajął był w Kościele powszechnym Kościół hiszpański, wyprzedzając o wiek przeszło pod wpływem wielkiego Ximenesa ogólną reformę Kościoła. Odtąd nowatorskie prądy północne odbijały się wprawdzie w Hiszpanji o twarde puklerz ortodoksji. Ale wyrobiło się dumne poczucie wyższości, a panujący, już Ferdynand aragoński, potem wnuk jego Karol V, wreszcie Filip II wyzyskiwali ową wierność, aby zdobywać na papieżach przywilej po przywileju, a zresztą zagarniać samolubnie władzę nad Kościołem dla siebie. Prezenty i patronaty wszystkich biskupstw i większych prebend przeszły na królów; królowie zawładnęli trybunałem inkwizycyjnym i zamienili go w twarde narzędzie polityczne; królom przyznawać musiał papież coraz większe daniny i podatki z bogatych dóbr kościelnych, a natomiast bulle i zarządzenia papieskie podlegały kontroli królewskiej, która dowolnie wstrzymywała ich ogłoszenie. A że skądinąd oczy katolików z tych krajów, które zalewała fala reformacji, zwracały się ku katolickiemu monarsze, żebrząc jego pomocy i opieki, więc ową wszechwładzę we własnym hiszpańskim Kościele Filip II roztoczyć chciał nad całą społecznością chrześcijańską i nad całym Kościołem i stąd coraz dumniej i bezwzględniej występował wobec papieża.

Obok tego współzawodnictwo i sprzeczność interesów poszczególnych dworów katolickich krzyżowały również ciągle plany papieskie. I tak już w okresie wstępnym ważna różnica zdań paraliżowała przygotowania do soboru. Papież pragnął bowiem od początku zaznaczyć, że chodzi o dalszy ciąg odroczonego w r. 1552 soboru w Trydencie, gdyż tylko w ten sposób można było utrzymać i zabezpieczyć ważność uchwalonych za Pawła III i Juliusza III w Trydencie orzeczeń i dekretów. Poświęcenie ich, puszczenie niejako w niepamięć naraziłoby było powagę wszystkich poprzednich soborów powszechnych i stworzyło nieobliczalny w skutki precedens. Po stronie papieża stanął w tej sprawie jedynie dwór madrycki. Ferdynand I natomiast, zrazu chwiejny, potem, jak zwykle, sterroryzowany przez otoczenie, żądał, aby dwa pierwsze okresy soboru przekreślić, zwołać sobór nowy i w ten sposób zostawić furtkę otwartą dla protestantów, którzy nie uznawali minionych okresów soboru. Co więcej, cesarz proponował na miejsce zebrania soboru Innsbruck, byle nie drażnić innowierców już samem nazwiskiem znieawidzonego przez nich Trydentu. Do opozycji przeciw Trydentowi przyłączyła się wnet Francja, i na tej sprawie utkwily znów układy z dworami. Zwłoka wystawiała zaś cierpliwość Piusa IV na tem cięższą próbę, iż dwór francuski groził ciągle zwołaniem na własną rękę synodu narodowego i nawet wyznaczał już termin zebrania.

Rzadkich zdolności dyplomatycznych, a rzadszej jeszcze wytrwałości dał Pius IV dowody, przelamując, lub odsuwając przynajmniej do czasu jedną po drugiej przeszkodę, aż w listopadzie 1560 r. ogłosił bullę konwokacyjną soboru. Poprzedziła ją z porady kardynała Boromeusza uroczysta jubileuszowa procesja z kościoła św. Piotra do kościoła S. Maria sopra Minerva. Papież szedł boso, otoczony kardynałami i dworem pod baldachimem niesionym naprzemian przez posłów zagranicznych i przez patrycjat rzymski. Za papieżem postępowali sąsiedzi państwa papieskiego, Kosma Medyceusz z Florencji i Guidobaldo della Rovere z Urbinu, a zamykało wspaniałą pochod duchowieństwo świeckie i duchowne, kurjaliści i cechy rzymskie.

Bulla nie mówiła wprost o kontynuacji soboru, ale wtrąconym zwrotem „o zniesieniu wszelkiej suspensy“, czyli odroczenia — *sublata quacumque suspensione* papież ubezpieczał znaczenie poprzednich okresów soboru i moc obowiązującą powziętych na nich uchwał. Tylko Filipowi II zdawało się to niedość wyraźnem, a zaudało wyraźnem Ferdynandowi I, i obaj natychmiast podnieśli skargi, a cesarz żądał teraz w dodatku zaproszenia na sobór książąt i miast protestanckich. Żeby temu żądaniu cesarskiemu uczynić zadość, rozpoczęła się więc długa po Niemczech wędrówka legatów, Giovanniego Commendone i Delfina, istna droga krzyżowa posłów wobec zuchwałych reku-

które zbierali u dworów i rządów innowierczych. „Papież — odpowiadano im — nie ma prawa zwoływania soboru i narzucania się na sędziego w sprawach kościelnych, skoro sam jest właśnie twórcą wszystkich błędów, skoro sam ponad innych prawdę prześladowuje i uciska, a judząc jeden naród przeciw drugiemu, słabością ich się tuczy“. Równocześnie miejscowi predykanci wyklinali z kazalnicy wysłanników papieskich, jako „demonów przybyłych, aby zakłócać sumienia i bajkami soborowemi je zwodzić“.

Wśród takich zmundnych przygotowań upływały tygodnie i miesiące, i kiedy nadszedł termin wielkanocny 1561 r., wyznaczony przez Piusa IV na otwarcie soboru, pokazało się, że dopiero za ledwie czterech biskupów przybyło do Trydentu. Ale papież, wierny przyrzeczeniu danemu, jak się wyrażał, *da gentiluomo, da bon papa e da bon christiano* nie ustawał w zabiegach i wysłał do Trydentu przeznaczonych dla prowadzenia soboru legatów, a pomiędzy nimi z poza Alp polskiego biskupa z Warmji, Stanisława Hozjusza. Na licznych sejmach i na synodzie piotrkowskim z r. 1551 dał był już Hozjusz dowody szczególnej gorliwości w obronie wiary przeciw zakusom nowatorskim i był najsilniejszą ostoją prawowierności w Polsce, a w ostatnich przed soborem czasach, mianowany przez Piusa IV nuncjuszem na dworze wiedeńskim, nakłaniał Ferdynanda I do popierania soborowych planów papieskich. Wysoce wykształcony, ener-

giczny i świątobliwy zasługiwał on w pełni na wyszczególniające stanowisko jedyne go zrazu wśród pięciu legatów papieskich na soborze przedstawiciela północy. Powoli w ciągu lata i jesieni 1561 r. zjeżdżali się biskupi w Trydencie i kiedy pod koniec roku liczba zgromadzonych wzrosła nareszcie do stu, postanowiono w Rzymie nie zwlekać dłużej, i kardynał Boromeusz doniósł legatom, że papież wyznaczył dzień 18 stycznia 1562 r., dzień święta Stolicy Piotrowej, na otwarcie soboru.

Tegoż dnia odbyła się pod przewodnictwem kardynała Herkulesa Gonzagi, zwanego powszechnie kardynałem mantuańskim, znakomitego syna słynnej w epoce Odrodzenia Izabeli d'Este, siedemnasta z rządu, wliczając okresy soborowe z czasów Pawła III i Juljusza III, a pierwsza za rządów Piusa IV sesja soboru. Papież polecił legatom, aby nie dopuszczali do podawania w wątpliwość orzeczeń i dekretów z poprzednich okresów soboru, a ustalali nadal zaczepiane przez nowatorów prawdy wiary i przygotowywali dalsze dekrety reformy kościelnej. Z pod reformy przez sobór wyj-
mował atoli Pius IV reformę własnego dworu i kurji papieskiej, gdyż tego zadania sam się już był podjął i zastrzegł jego przeprowadzenie dla siebie. Legaci ze swej strony poddawali zrazu mniej ważne i sporne sprawy pod obrady, ażeby nie roznamiętniać rozpraw i nie mącić od początku zgody. Rozbieżność zdań wszelako już się na pierwszych sesjach zarysowała jaskrawie, a wzrosła

mianowicie po przybyciu posłów dworów zagranicznych do Trydentu. Obok wznawianej z naciskiem kwestji, czy sobór jest dalszym ciągiem poprzednich okresów, czy soborem nowym, wyłoniła się bowiem niebawem, mianowicie przy obradach nad przygotowywanym dekretem o obowiązku rezydencji biskupów, kwestja zasadnicza stosunku episkopatu i jego władzy do prymatu papieskiego. Stara ta kontrowersja średniowieczna roznamiętniła odrazu umysły i zaogniła rozprawy. Za emancypacją biskupów z pod władzy papieża występowali energicznie prałaci hiszpańscy; przeciw nim stanęli w obronie praw papieża biskupi włoscy, wymowny teolog generał jezuitów Lainez i sam kardynał Borromeusz, który w instrukcjach, przysyłanych z Rzymu, jasno określał różnicę święceń biskupich — o r d o — od ich jurysdykcji i rozgraniczał pochodzenie tych praw i ich skutki. Ale właśnie przysyłanie legatom instrukcyj z Rzymu było przedmiotem ostrej krytyki i wywoływało ciągle skargi ze strony posłów, a w zastrzeżonem sobie przez legatów prawie tak zwanych propozycji, czyli wyboru przedmiotów poddawanych pod obrady, upatrywano rozmyślne tamowanie wolności soboru. Mówiono, że skoro legaci porozumiewają się o każdą uchwałę już przed jej powzięciem z papieżem i w każdej sprawie zasięgają wpierw jego zdania, ma się naprawdę, jak mówił z niechęcią cesarz, do czynienia z dwoma soborami, jednym w Trydencie, a drugim, rzeczywistszym, w Rzymie. Jeszcze ukąśliwiej wy-

rażał się poseł dworu francuskiego i powiernik Katarzyny Medycejskiej, Lansac: *Q u' il lui plaise —* pisał o papieżu z Trydentu — *laisser les propositions libres, sans y prescrire aucune limite, ny envoyer le Saint Esprit en valise icy.*

W tych krytykach brzmiało echo synodów z Konstancji i Bazylei, stara pokusa świecka wbijania klinu pomiędzy sobór a papieża, wygrywania jednego przeciw drugiemu, jak i pokusa samego soboru wywyższenia się ponad papieża. Właśnie też żeby tego uniknąć, a utrzymać zgodną spójnię, legaci starali się o zachowanie ciągłej łączności i styczności z papieżem. Kurjerzy ze sprawozdaniami legatów lub z instrukcjami papieża jeździli wciąż pomiędzy Trydentem a Rzymem, a stojący przy boku Piusa IV kardynał Boromeusz, przez którego ręce przechodziła cała korespondencja soborowa, zalecał surowo, ażeby przybyłych z Trydentu kurjerów czy w dzień, czy o którejkolwiek godzinie w nocy, natychmiast przed niego stawiali; następnie zdawał sprawę z bieżących spraw zbiegającej się pod przewodnictwem papieża osobnej kongregacji i wedle jej rad i woli papieża odwrotną dla legatów wygotowywał odpowiedź. Choć nieobecny sam na soborze, był więc on jednak jego współkierownikiem i duszą.

Ale w Trydencie mnożyły się przeciwności: w czerwcu wręczyli posłowie cesarscy papieskim legatom tak zwane *libellum reformationis*, czyli szereg artykułów, w których Ferdynand I żą-

30

dał, aby przed rozsądzeniem sporów dogmatycznych, sobór przyjął i uchwalił zaleconą w owych artykułach reformę Kościoła, a to reformę *in capite et membris* — w głowie i członkach kościelnych. Żądania te, wyrosłe na gruncie przesiąkniętym protestantyzmem, skierowane były przeciw hierarchji kościelnej i przeciw osobie samego papieża. Pius IV był do reform także i u szczytu hierarchji skłonny; niejedną jak np. naprawę najwyższych trybunałów kościelnych sam był już przeprowadził, a dalsze przygotowywał. Narzucane mu z zewnątrz i z ramienia świeckiego były one dla godności papieskiej ubliżające, a groziły podobną burzą, jaka po soborze w Konstancji zawichrzyła wiek XV. Prócz tego wnikały owe artykuły cesarskie w dziedzinę czysto kościelną, jak domaganiem się zniesienia bezżeństwa kapłańskiego i zaprowadzenia komunji pod obiema postaciami. Czarną więc chmurą zawisły te postulaty cesarskie nad soborem, gdzie rozwlekała, a burzliwa rozprawa o stosunku episkopatu do prymatu papieskiego tak ostre przybrała właśnie była formy, że poseł francuski Lansac żądał wprost, aby w przygotowywanych dekretach wypuszczono użyte słowa, iż „papież rządzi Kościołem”. Wśród rozbudzonych namiętności, w ciężkiej i dusznej atmosferze kleiła się i opanowywała sobór groźna koalicja rozbieżnych dotąd żywiołów Francji, Hiszpanji i Niemiec, a sam cesarz, aby bliżej być Trydentu, przeniósł się do Innsbrucka i powołał do swego boku radę teologów, zakrawającą

istotnie na jakiś postronny sobór, który miał kontrolować zgromadzenie trydenckie.

Zwątpienie o możliwości doprowadzenia soboru do końca poczęło więc już ogarniać nawet najufniejszych, szczególnie odkąd spory zaogniły się do tego stopnia, że wychodziły ze sali obrad na ulice Trydentu i od Ojców soboru pomiędzy lud. Nawet sam papież wahał się i zastanawiał, czyby nie należało przystąpić do ponownego zawieszenia soboru. Katastrofa zdawała się nieuniknioną, a zapowiadała zupełną klęskę Kościoła. Bo niemożność utrzymania zgody w społeczności katolickiej i przyznanie się do tej niemocy wobec świata, oznaczałyby sromotną po półwiekowej już prawie obronie kapitulację przed protestantami. To też w poważnych kołach z trwogą i smutkiem spoglądano w przyszłość, a uczony kardynał Rodolfo Pio z Carpi zwierzał się w tych dniach próby posłowi weneckiemu, „że Boga o śmierć, jak o łaskę prosi, byle nie dożyć takiego załamania się i pogrzebania Rzymu”.

Obok Piusa IV, któremu zdolności polityczne pozwalały zapanować nad najbardziej często zawiłanym położeniem, obok kardynała Boromeusza, który w otoczeniu papieskim zawsze podtrzymywał ducha, najwięcej przyczynił się do zażegnania burzy Giovanni Morone. Syn długoletniego kanclerza ostatnich Sforzów medjolańskich, sam od młodu w służbie papieskiej, a przez wielkiego znawcę ludzi, Pawła III, wyniesiony do godności kardynalskiej; potem za rządów Pawła IV niesłusznie

podejrzany o kacerstwo i długo więziony w zamku św. Anioła, wyzwolony zaraz po wstąpieniu Piusa IV na Stolicę Apostolską, a w tej chwili właśnie przeznaczony po zgonie Herkulesa Gonzagi na opróżnione po nim miejsce jednego z legatów w Trydencie, zorjentował on się natychmiast w ciężkim i zawile, ale, jak sądził, niezupełnie straconem jeszcze położeniu. Zbadawszy wszystkie kwestje sporne, przekonał się bowiem, że były one przeważnie skutkiem krzyżujących się interesów świeckich, a więc raczej natury politycznej. Dlatego mniemał, że należało je wpierv poza soborem, w bezpośrednim zetknięciu się z rządami świeckimi załatwić, aby w ten sposób gładką dla obrad soborowych uterować drogę. Ufny w dobre swoje dotychczasowe stosunki ze stronnictwem cesarskiem, postanowił więc dotrzeć do samego cesarza i w tym celu w kwietniu 1563 r. opuścił nagle Trydent i ruszył do Innsbrucka.

Ferdynand I wymawiał mu na wstępie z goryczą, że i papieżowi i soborowi na dobrej woli i na szczerości zbywa, i że ufać im niepodobna, skoro cesarskich jego artykułów reformy, przesłanych do Trydentu, nawet pod dyskusję nie wzięto. Morone w zręcznej przedkładał odpowiedzi, że jeżeli owe artykuły nie nadawały się przez wzgląd na papieża i powagę Stolicy Apostolskiej do jednolitego traktowania, to przecież wiele z pojedynczych punktów cesarskiego programu naprawy, choć może bez wyraźnej cesarskiej firmy, uchwalono już na

soborze i przyjęto. W podobny sposób odpierał zarzut przeciwko rzekomemu kierowaniu soboru z Rzymu: wszakże i sam cesarz i inni książęta świeccy wiązali coraz to nowymi zleceniami i instrukcjami posłów swoich wysyłanych do Trydentu; co było prawem cesarza i innych książąt, tego przecieź nie można było wzbraniać papieżowi i jego zastępcom. W sprawie tak zwanego prawa propozycyj tłumaczył wreszcie Morone, jak obosieczną bronią stałby się mogło zbyt jego rozszerzenie: bo jeżeli groziłoby to może papieżowi zakusami emancypacji duchowieństwa z pod władzy papieskiej, to czyż nie prędzej jeszcze zwróciliby się pralaci, zebrani na soborze, w braku kontroli wniosków przeciw książętom świeckim, aby się wyłamać z pod obowiązków względem państwa i zrzucić nałożone przez państwo na duchownych i dobra kościelne ciężary?

W ten sposób legat odpierał najważniejsze zarzuty i kruszył upór cesarski, a jeżeli nie zdołał we wszystkim różnicy zapatrywać do wspólnego sprowadzić mianownika, to samem już nawiązaniem ponownych między Ferdynandem I a kurją rzymską stosunków torował drogę do dalszych układów i ostatecznego porozumienia. Najważniejszą jego zdobyczą zaś było, że potrafił odwieść cesarza od żądania reformy Kościoła *in capite* przez sobór, że więc niebezpieczeństwo postawienia soboru ponad papieża zażegnane było. To też kardynał Boromeusz w gorących słowach dziękował mu za

trud podjęty i osiągnięty skutek, donosząc w piśmie z 9 maja 1563 r., „że od początku rządów żaden z dyplomatów kurjalnych tak żywego nie zgotował Piusowi IV zadowolenia“.

Zbliżenie się Ferdynanda I do kurji rzymskiej było w tej chwili dla papieża tem ważniejsze, że właśnie Filip II przez nowe poselstwa twardsze stawiał warunki, a Katarzyna Medycejska w rozjemie zawartym w Amboise rozszerzała wolności religijne hugonotów i znów występowała z żądaniem zwołania nowego soboru we Francji lub w Niemczech. Tylko właśnie ten zwrot dworu francuskiego i ponowne przechylenie się Walezjuszów na stronę hugonotów korzystnie wpłynęły na atmosferę soborową. Na czele episkopatu francuskiego stał bowiem Karol de Guise, powszechniej kardynałem lotaryńskim zwany. Rozumny i ambitny, był on od zamordowania brata Franciszka wśród wojen religijnych we Francji, głową potężnego rodu Guisów, współzawodniczącego wpływem z Walezjuszami. Aczkolwiek na soborze w ostrej stał dotychczas przeciwko papieżowi opozycji, to jako szef katolickiego stronnictwa we Francji, przeląkł się po rozjemie w Amboise, wobec chwiejnej polityki dworu paryskiego, zagrażającej Francji schizmy. Dlatego począł szukać zbliżenia, a nawet podróżą do Rzymu osobistego zetknięcia się z Piušem IV, a w Trydencie łągodził opozycyjne umysły biskupów francuskich. Tak więc koalicja cesarza, Francji i Hiszpanji rozpadła się i traciła ostrze. Papież zaś

ze swej strony, aby wśród walki episkopatu z prymatem, tego najdrażliwszego na soborze wewnętrznego spornego punktu, nie dolewać oliwy do ognia, postanowił odroczyć rozstrzygnięcie w sprawie prymatu i jurysdykcji, a w kanonach, przedłożonych pod uchwałę soboru, określić jedynie pochodzenie i skutki święceń.

Zdawało się więc, że teraz, po ominięciu tego szkopułu, prace soborowe dokończyć i sobór zamknąć wkrótce będzie można. Stała atoli jeszcze raz na zawadzie samolubna polityka madryckiego dworu: Filip II liczył na to, że trudne położenie papieża, dopóki trwa sobór, powolniejszym go uczyni w innych pozasoborowych sprawach, i ustępliwszym wobec dworów zagranicznych. Dlatego nie chciał jeszcze dopuścić do zamknięcia soboru, a poseł jego w Trydencie, hrabia Luna, nie wahał się w tym celu wprost na szyderstwo zakrawających używać środków, kiedy po półtorarocznym już trwaniu soboru i zbliżaniu się obrad do końca, stawiał teraz znów wniosek o zaproszenie do Trydentu protestantów!

Czytając dzieje soboru trydenckiego, nie można oprzeć się zdumieniu, że Kościół wielkie to zadanie zdołał spełnić. Bo atmosfera była, po ludzku sądząc, dla dzieła najnieodpowiedniejszą, kiedy na przelomie dwóch epok parły na Kościół z góry żywe jeszcze średniowieczne tradycje mieszania się władzy świeckiej do wszystkich spraw kościelnych, a z dołu wstrząsały jego podwalinami buntury nowa-

torskie, i kiedy reformacja zamieniła się na wygodne narzędzie panujących dla dowolnego wywierania nacisku na głowę Kościoła, na straszaka w ich rękę, co na grę ich polityczną przez cały przeciąg trójokresowy soboru tak ujemne często rzuca światło. Reforma zeświecczonego i w niejednej swej gałęzi zawiędnętego doszczętnie Kościoła, była dla dalszego jego istnienia niezbędną. Ale ograniczenie tej reformy tylko na duchowną część społeczności chrześcijańskiej było błędem i winą panujących. Bo gdy na życzenie Piusa IV sobór wystąpił w lipcu 1563 r. z wnioskiem reformy książąt świeckich, wnioskiem skierowanym przeciw wyłomom, jakie czyniły rządy świeckie w dziedzinie kościelnej, w prawach i we własności Kościoła, tamując jego wolność nieraz zupełnie, pośród książąt świeckich zerwała się burza. Zaprotestował przeciwko temu Filip II, zażądał natychmiastowego cofnięcia wniosku Ferdynand I, a dwór francuski zagroził nawet odwołaniem z Trydentu posłów swoich i prałatów, uczestniczących w soborze. Położenie legatów raz jeszcze stało się krytyczne, bo niemal wszyscy na soborze zebrani biskupi murem stanęli za owym wnioskiem, podnosząc z naciskiem, że wszelkie reformy szwankować będą, póki ich, biskupów, władza świecka w zarządzie Kościoła dowolnie ograniczać i krępować zdoła. Jedynie posunięte i kresu już dobiegające prace soboru oraz gorące pragnienie Piusa IV przyśpieszenia jego zamknięcia, które dopominał się również i sam cesarz, a obok

niego dwór polski i dwór portugalski, i za czem przemawiał wobec wzrastającego zamętu we Francji coraz silniej kardynał lotaryński, skłoniły sobór podługim oporze do porzucenia gotowego już wniosku o reformie ksiąząt w pierwotnej jego, ostrzejszej formie. Zastąpiono go przypomnieniem dawniejszych odnośnych przepisów i kanonów z poprzednich soborów. Z żalem zgodzili się Ojcowie soboru na to dla ich powagi i władzy tak ujemne pod świeckim naciskiem ustępstwo. Ale stojąc u kresu zadania, nie chcieli go raz jeszcze narażać.

Bo kres ten zbliżał się istotnie. Mimo tylu i takich przeszkód, i w ciągu tego trzeciego najburzliwszego może okresu soboru, pracowano w kongregacjach bezustanku, a w ośmiu sesjach generalnych sobór wyczerpał niemal cały przygotowany pod obrady materiał. To też w końcu jesieni 1563 r. z zadowoleniem mogli Ojcowie soboru na obfity plon ośmnastoletniej, dwukrotnie przerywanej, ale wytrwałej pracy spoglądać. Wszystkie prawdy wiary, podane przez nowatorów w wątpliwość, lub wprost przez nich zaprzeczane, wyjaśniono i odgraniczono od pojęć i określeń hereetyckich; ustalono naukę o grzechu pierworodnym i o usprawiedliwieniu, a więc oba główne punkty innowierczych protestów; uznano Tradycję, jako źródło Objawienia; zestawiono w jasnych definicjach naukę o Sakramentach i oparto wreszcie całą budowę hierarchji na silniejszym podłożu. Obok zaś wyjaśnień prawd wiary, w reformacyjnych

dekretach sobór przypomniiał, naprawił lub wskrzesił szereg zapomnianych w ciągu wieków lub spaczonych przepisów. I tak, żeby raz jeszcze przytoczyć choćby najważniejsze, potępił symonję, obostrzył zaniedbany obowiązek rezydencji biskupów i duchownych na nadanych im posiadach; zakazał łączenia kilku takich posad w jednym ręku; wdrożył naprawę życia kapłanów zakonnych i świeckich; unormował sposób obsadzania probostw i zaprowadził w tym celu egzamina diecezjalne; polecił zakładanie seminarjów duchownych przy katedrach biskupich, przepisał plebanom obowiązek kaznodziejstwa i katechizacji; sięgnął wreszcie głęboko w sferę społeczną, wzmacniając jako podwalinę życia rodzinnego związek małżeński przez obowiązującą odtąd stale przy zawieraniu ślubów małżeńskich tak zwaną formułę trydencką.

Zaiste powiedzieć można, że cały odtąd i aż po nasze czasy ustrój kościelnego życia oparł się na uchwałach soboru trydenckiego. Bo nie było w rozległej dziedzinie wiary i obyczajów pola, któreby nie zostało przeorane i pod nową użyźnione siewbę. Teraz nareszcie miano w ręku narzędzie, ażeby dźwignąć Kościół z upadku, w jakim go zastał świat u wyjścia z pomroków średniowiecznych. Ale właśnie im głębszy był upadek, tem cudowniejszy w owem dźwignięciu leżał dowód niezwycięzonej siły, tkwiącej w samym Kościele z mocy Boskiego jego założenia. Niewątpliwie był on teraz skurczony w zakresie wpływu i rządów

po stracie tyłu ziem i dusz, które porwała i uniosła fala reformacji. To co pozostało, miało atoli warunki zdrowia i życia, było skrzepione i silne, tak że tragiczny rozłam, który przyśpieszył to dzieło naprawy, znów zaprawdę za „szczęśliwą winę“ — *felix culpa* — poczytać można.

I jeszcze raz, na samym końcu poważne soborowi zagroziło niebezpieczeństwo: późną jesienią przybył z Rzymu do Trydentu kurjer z listami kardynała Boromeusza, donoszącemi, że Pius IV ciężko zaniemógł. Kardynał wzywał legatów, aby jak najszybciej przystąpili do zamknięcia soboru, zanimby grożący zgon papieża, sediswakancja i wybór następcy, tak pomyślnie kresu dobiegające dzieło mogły znowu odwlec, na szwank narazić, lub zgoła zmarnować. Naznaczono więc bezwłocznie uroczystą generalną sesję konkluzji, dziewiątą za rządów Piusa IV, a dwudziestą piątą w ciągu całego soboru, na dzień 3 grudnia. I dziwnym trafem na porządku dziennym tego ostatniego posiedzenia stał pomiędzy innemi i dekret o odpustach, ta sama więc sprawa, która już przeszło przed pół wiekiem stała się hasłem pierwszego protestu Lutra, ostrzem rozpruwającym jedność kościelną. Tylko teraz nic już nie miało zamącić harmonji uroczystego zebrania, bo w podniosłym nastroju zebrali się Ojcowie soboru po raz ostatni w starożytnym kościele Najświętszej Panny Marii. Każdy z nich odczuwał do głębi duszy, że podjęte z takim trudem, przez tyle lat tak mozolnie naprzód

się posuwające, teraz nakoniec dokonane dzieło, było dziełem wielkiem. Wzruszenie ogarnęło wszystkich; winszowano sobie nawzajem owocu długiej pracy; zniknęły podziały, umilkły spory, zwały się zgódnie stronnictwa i narodowości i zagorzali dotąd przeciwnicy — *veluti milites ejusdem exercitus* — „jako żołnierze tego samego wojska”, jak mówi Pallavicini, najstarszy historyk soboru trydenckiego, ściskali teraz bratnie dłonie i padali sobie ze łzami w objęcia.

A wzruszenie dosięgło szczytu, kiedy nazajutrz, bo sesja przeciągnęła się aż do dnia następnego, wznowiono starodawny obyczaj „aklamacyj” z przeszłych soborów; kardynał lotaryński składał hołd papieżowi panującemu, potem hołd pamięci Pawła III, Juljusza III i cesarza Karola V, potem powinszowania Ferdynandowi I i innym monarchom i książętom katolickim, podziękowania kardynałom-legatom, biskupom i oratorom soboru, a zgromadzenie odpowiadało chórem i wznosiło na ich cześć okrzyki. W szeregu wymienianych imion i nazwisk przesuwwały się dzieje soboru i głównych, żywych i zmarłych aktorów tego długiego dziejowego dramatu, aż na koniec, po złożeniu przysięgi posłuszeństwa i wierności uchwałom i dekretem trydenckim, wzbili się pod stropy świątyni dziękczynny hymn Ambrojański. Słowami — *Ite in pace* — pożegnał przewodniczący kardynał-legat Morone zgromadzenie: sobór był skończony i zamknięty.

VI.

Wprowadzenie w życie uchwał soboru.

Aklamacje, rozbrzmiewające w Trydencie, a zwiastujące światu zakończenie soboru, nigdzie się radośniej nie odbiły echem, co w duszy Karola Boromeusza. W sam dzień zamknięcia pisał, że „sobór jest największem dobrodziejstwem, jakie mogło być wyrządzone światu”, a dodawał jakby w programowym na resztę żywota własnego zwrocie, iż „pała teraz pragnieniem takiego wykonania soborowych uchwał, jakiego dobro chrześcijańskiej społeczności wymaga”. Reformę rozpoczął, jak zawsze od siebie i własnego domu, przodując i tu przykładem. Zauważono też w nim od tejże chwili większe jeszcze uświęcanie świątobliwego już i tak żywota, zdwojoną pobożność i surowość życia. Ograniczył i uszczuplił przedewszystkiem dwór i otoczenie swoje, oddalił zeń wszystkie żywioły świeckie i odtąd otaczał się wyłącznie gronem duchownych. Na modlitwę i rozmyślania nabożne więcej jeszcze poświęcał czasu, lecz ten dodatek zapożyczał nie z godzin pracy, tylko z tych skąpo wymierzonych chwil, które mu bywały dotychczas po pracy wyczerpaniem. Skończyły się drogie mu zebrania uczonych, owe słynne noctes Vaticanae, które

w Rzymie tak świetnego zażywały rozgłosu, a zato często nocną porą zdązał św. Karol do którego z kościołów, najchętniej do bazyliki liberjańskiej, aby tam godzinami czuwać na modlitwie. Postami i umartwieniem ciała ćwiczył się i wiódł ku coraz wyższej doskonałości, wywodząc zawsze z najdostojniejszego po papieżu stanowiska swego w hierarchii obowiązek świecenia przykładem.

Pius IV, który tym razem dźwignął się jeszcze, choć już nie na długo, z choroby, trzymał zaś nadal ukochanego siostrzeńca u swego boku. Postanowiwszy zreformować w duchu soboru kurję i dwór własny, oceniał słusznie, jaką mu w tem pomocą i podporą będzie przykład własnego nepota. To też często go na pełnych kongregacjach z dumą za wzór stawiał. Zależało mu zresztą i na tem, aby sekretarz stanu, znający wszystkie nici dyplomatyczne, nawiązywane w ciągu soboru z dworami zagranicznymi, trzymał je nadal w ręku w ważnej chwili, kiedy chodziło o przyjęcie uchwał trydenckich przez owe dwory. Bo aczkolwiek Pius IV sam z pod obrad soboru usunął drażliwą sprawę prymatu papieskiego, papieski autorytet wzmocnionym wyszedł ze soboru: do papieża zwrócili się bowiem na ostatniej sesji Ojcowie soboru z prośbą o potwierdzenie dekretów soborowych i uchwał, oddając równocześnie wyłączne prawo ich interpretacji Stolicy Apostolskiej. W dniu 24 stycznia 1564 r. dokonał więc papież bullą *Benedictus Dominus* potwierdzenia i przesłał ją z uchwa-

łami soborowemi wszystkim księżętom katolickim. Przyjęto uchwały trydenckie w prawowiernych częściach cesarstwa, we Włoszech, z wyjątkiem prowincyj podlegających rządowi hiszpańskiemu, i w Portugalji. Ogłoszono je również niebawem w Polsce, gdzie legat papieski Commendone wręczył ich zbiór 7 sierpnia 1564 na sejmie w Parczowie Zygmunтови Augustowi; sam król wpłynął na natychmiastowe ich przyjęcie. Natomiast dwory paryski i madrycki obwarowały swój akces zastrzeżeniami.

Uporządkowanie i kodyfikację materiału soborowego zlecił papież osobnej wyznaczonej na ten cel kongregacji. Duszą jej był kardynał Boromeusz, który obfity materiał wnet tak dokładnie i gruntownie poznał, że go współcześni zwali żywą księgą soboru trydenckiego. Praktycznym zmysłem ocenił też szybko, które zadania były najpilniejsze i najprędzej spełnionemi być mogły. Dlatego zatrzymawszy w Rzymie u swego boku szereg powracających z Trydentu teologów różnych narodowości, porucił im zalecone przez sobór ściśle, jasne i przystępne zestawienie opartych na Piśmie świętem i na nauce Ojców Kościoła najważniejszych prawd wiary i reguł obyczajowych. W ten sposób powstał nowy Katechizm rzymski, owa w ówczesnych warunkach najpilniejsza podstawa naprawy, a i po dziś dzień prawdziwa kość pacierzowa rzeczywistego katolickiego życia. Ostateczną stylistyczną rewizję tekstu zlecono pracującemu w se-

kreterjacie papieskim humaniście i najcelniejszemu łacinnikowi owych czasów, Pogianiemu. Dziwny to obraz, znamienny dla zmiany czasów, tego epigona rzymskich humanistów z *quattrocenta*, duchowego potomka Platiny, Braccioliniego, Kallimacha, polerującego w kancelarji watykańskiej łacinę katechizmu! Już w kilka miesięcy po podjęciu tej pracy mógł kardynał Boromeusz pokrewnemu mu duchem krzewicielowi soborowych zleceń w Polsce, Stanisławowi Hozjuszowi donieść, że katechizm gotów i że wkrótce po nim pojawią się także nowe i na cały świat ujednostajnione mszały i brewjarze rzymskie, oraz wydanie poprawionej w dokładniejszym i jaśniejszym przekładzie Wulgaty. W pracach tych pomagał św. Karolowi syn Alda Manuzia, Paweł, który powołany przez Piusa IV do Rzymu, wskrzeszał *in aedibus populi romani*, czyli na Kapitolu, jak druki swe zwykł był oznaczać, sławę weneckich wydawnictw ojca.

Dla Rzymu, dla dworu papieskiego data wykonania uchwał trydenckich oznacza doniosłą zmianę. Drżeli przed nią dworzanie Piusa IV. — *Si fara un sfrattamento che Roma resterà la meta vuota* — „przyjdzie do takiego wymiata-
nia, że Rzym się do połowy wypróżni” donosił już w styczniu 1564 r., a więc w miesiąc po zamknię-
ciu soboru poseł książęcy parmezański swemu panu, a dodawał, że kurjaliści załamują ręce. Bo papież zapowiedział surowo, że wszystkich do obo-
wiązku rezydencji zmusi, i odrazu zapowiedź ją

w czyn zamieniać; to zaś równało się wygnaniu całego zastępu dworzan, którzy w epoce Odrodzenia napływali zewsząd na dwór papieski, nadając mu blask nieporównany, ale tak nawskroś świecki. Z zaćmieniem tego światła odlatywał też z Rzymu ów rój bankierów i kupców, artystów i sztukmistrzów, pośredników i sług wszelkiego rodzaju, którzy żyli ze zbytku dworu, lub wygrzewali się pasorzytnie w jego słońcu. Dworzanin kardynała Farnese, słynny tłumacz Wirgiljuszowej Eneidy, Annibale Caro, pisał w tych dniach do przyjaciela: „Gdyby cię wzięła ochota przybycia do Rzymu, to pamiętaj, że przybywa się tu teraz, aby się modlić, a nie żeby się paść” — *ci si viene hora per orare e non per pascere*.

Zarówno ci, którzy narzekali na tę zmianę, jak i ci, którzy z uznaniem witali zwrot ku odpowiedniejszej Stolicy Apostolskiej powadze, sprawcę tego zwrotu upatrywali w Karolu Boromeuszu. Niezadowoleni szydzili „z teatynistów Boromeusza” — *le Teatinerie del Borromeo* — porównywając snać jego powagę do surowości Pawła IV, założyciela utrzymujących się z jałmużny teatynów. Ale on siedł, nie oglądając się na zaczepki, śmiało naprzód i wskazywał własnym przykładem innym, a nawet samemu papieżowi kierunek. Jeszcze zaś za życia Piusa IV mógł owoc tego przykładu oglądać, bo oto, jak cytowany już raz w ciągu tego opowiadania poseł wenecki Giacomo Soranzo w dwa lata po zamknięciu soboru

życie na dworze papieskim opisywał: „Dwór tutejszy nie jest już tem, czem był dawniej, ani co do liczby, ani co do jakości dworzan, a to wskutek oszczędności papieża i miernych dotacyj kardynałów. Bo póki była u góry hojność, póty na dwór napływało wiele talentów. Po soborze rozpoczęły się ich odpływ. Odkąd bowiem biskupi i inni beneficjaci na swych posiadach rezydować muszą, wywędrowała większa część dworu. Niema już ubiegających się o służbę, bo skoro nie wolno beneficjów w jednym łączyć ręku, nadana zaś posada gdzieś daleko poza Rzymem leży, nie znajdzie się wielu takich, coby na własny koszt, a bez widoków zysku na dworze żyć chcieli. Co do kardynałów, to skromne warunki, w których dziś żyć muszą, z dwóch pochodzą przyczyn: póki całe Niemcy, Anglja i inne państwa zależne były od Stolicy Apostolskiej, póty wyposażano ich w liczne tłuste beneficja, nie mówiąc już o tem, że mogli dzierżyć kilka biskupstw jednocześnie, czego dziś nie wolno. Z poza granic niczego już nie dostają. Mowy już też niema o podarunkach. Życie na dworze jest więc pełne prostoty, a to tak z powodu szczupłych środków materjalnych, jak równie tyle wskutek dobrego przykładu, którym kardynał Bormeusz wszystkim przyświeca, bo ludy chętnie wzorują się na swych księżętach. Skoro teraz ten, który ma w ręku rozdawnictwo łask wszelkich, sam tak pobożny i skromny żywot wie dzie, a wyszczególnia tylko takich, którzy go w tem naśladowają, nic dziwnego, że wywierać musi wpływ

jak największy na innych kardynałów i członków papieskiego dworu. To też nie spotka się już więcej owych zamaskowanych dostojników, owych kawalkat i przejażdżek w kompanji na ulicach Rzymu, jak to dawniej bywało. Kardynałów nie zobaczysz odtąd inaczej, jak tylko samych w zamkniętej karecie. Zniknęły dawne gry, bankiety, łowy, zniknęło owe mnóstwo służby w liberji i cały ten zbytek świecki, bo niema już na dworze dygnitarzy świeckich, jakimi bywali przedtem krewni papiescy. Księża noszą wszyscy suknię duchowną, tak że zmiana i nazewnątrz bije w oczy. Handlarze zato potracili majątki, odkąd ustał obrót pieniężny."

Tak się więc szybko i wyraźnie zaznaczała zmiana, sięgająca i głębiej. Potrzeba było jeszcze, żeby ze środkowego ogniska, z Rzymu, rozstrzeliły się te promienie szerzej i dalej. Pojmował to doskonale kardynał Boromeusz. Zadanie swoje rzymskie uważał za spełnione: sobór własną w wielkiej mierze zasługą doprowadził do końca, a przykładem skierował kurję papieską na drogę takiej reformy jakiej prawdziwa wymagała naprawa. Teraz należało społeczności chrześcijańskiej pokazać, jakim powinien być biskup katolicki wedle ducha soboru trydenckiego. I znów tutaj miał się stać św. Karol szczytnym wzorem, kiedy spełniając dawne a gorące serca życzenie, mógł wreszcie po zgonie Piusa IV objąć osobiście rządy swojej diecezji i przenieść się z Rzymu na starożytną stolicę św. Ambrożego do Medjolanu.

VII.

Prace duszpasterskie św. Karola w Medjolanie.

W jesieni r. 1565 udał się kardynał Boromeusz do Medjolanu, zwoławszy tam w myśl zleceń soboru trydenckiego sobór prowincjonalny. Ze starej przedmiejskiej świątyni San Eustorgio, zbudowanej według podania na miejscu, gdzie towarzyszył św. Pawła, a założyciel pierwszej gminy chrześcijańskiej w Medjolanie, Barnaba, udzielał niegdyś chrztu poganom, ruszył w uroczystym pochodzie do miasta. Cały Medjolan wyległ na przyjęcie arcybiskupa, który poprzedzony duchowieństwem, wśród licznego orszaku dostojników z namiestnikiem Filipa II księciem Albuquerque na czele, konno pod bogatym baldachimem, niesionym przez patrycjuszów medjolańskich, odbył solenny ingres. *Desiderio desideravi hoc pascha manducare vobiscum* — „z głębi serca pragnąłem spożyć z wami tę paschę” — temi słowy Chrystusowemi z wieczernika witał nowy pasterz z kazalnicy wspaniałego tumu zebraną po raz pierwszy wokół niego powierzoną mu owczarnię, dając w nich świadectwo tęsknocie, jaka go oddawna ciągnęła ku niej. Z najgłębszem przejęciem wstępował na stolicę wielkiego swego poprzednika z przed dwunastu

wieków, św. Ambrożego, który „dany od Boga — jak mówi Skarga — za mur Kościołowi swemu, i za więzę przeciwko niewierności heretyckiej”, wśród śmiertelnych drgań starożytnego świata stworzył tu silną, pierwszą po Rzymie społeczność chrześcijańską na Zachodzie. A jak św. Ambroży w zaraniu średniowiecznym walczył z pozostałością zabobonów pogańskich i z budzącą się już w młodym Kościele herezją Arjusza, tak teraz następcy jego św. Karolowi przychodziło znów na przelomie dwóch epok oczyszczać niwę z chwastów wybujałych w ubiegłej, a bronić przed rozrostem tych, które krzewił na północy wiek nowy.

Przedłożenie dekretów trydenckich zwołanemu soborowi było pierwszą czynnością Boromeusza w diecezji, którą obejmował osobiście, tak jak przyjęcie ich przez biskupów lombardzkich i uroczyste złożenie przez nich trydenckiego wyznania wiary pierwszym działaniem jego znakiem, podstawą, na której dalej zamierzał budować. Przed rozpoczęciem pracy musiał się atoli jeszcze udać na północ, aby z rozkazu papieża powitać w jego imieniu u granic włoskich siostry nowego cesarza Maksymiljana II, które przybywały do Włoch na zaślubiny, pierwsza z Alfonsem II Este, księciem Ferrary, druga z Franciszkiem, najstarszym synem i przyszłym następcą Kosmy Medyceusza z Florencji. W ciągu tej podróży doszła św. Karola wieść o śmiertelnej chorobie papieża. Natychmiast podążył do Rzymu. U łoża umierającego Piusa IV stanęli razem Karol

Boromeusz i ulubieniec ludu rzymskiego, założyciel zgromadzenia oratorjanów, a później również w poczet świętych zaliczony Filip Nereusz. Przez nich przygotowany na śmierć, przyjął papież z rąk ukochanego siostrzeńca ostatnie Sakramenta i 10 grudnia 1565 r. oddał Bogu ducha.

Wybitne stanowisko, jakie kardynał Boromeusz zajmował w świętym kolegium, wpływ, jaki dotąd na innych kardynałów wywierał, upewniały, że nowy wybór od niego zależeć będzie, a poręczały, że padnie w każdym razie na którego z przedstawicieli surowszego w Kościele kierunku. Uważając słusznie wprowadzenie w życie uchwał trydenckich za główne teraz zadanie, pragnął św. Karol pierwotnie wynieść na Stolicę Apostolską tego, który się około pomyślnego zakończenia soboru najwięcej zasłużył, czyli kardynała Morone. Gdy się jednak większość kardynałów tej kandydaturze oparła, zwrócił wnet uwagę współwyborców na inną i po krótkim tym razem conclave, dnia 7 stycznia 1566 roku wybranym został Michał Ghislieri, kardynał aleksandryjski, który przyjął imię Piusa V. Wybór ten był i jako dowód odmiany czasów, i ze względu na przewodnią przy elekcji rolę św. Karola znamienym. Bo za surowym dominikaninem Ghislierim żadne światowe nie przemawiały względy, z jakimi się poprzednio liczone aż nazbyt często. Skromnego pochodzenia, należał on wśród zubożalego świętego kolegium do najuboższych, a od polityki trzymał się zawsze zdaleka i gorliwość go-

raćej swej duszy poświęcał jedynie dziełu reformy. Paweł IV, tak wogóle mało ludziom ufający, jemu jednemu zaufał więcej, wyszczególniał go chętnie i powierzył mu nawet kierownictwo urzędu inkwizycji, nad którą sam czuwał zazdrośnie. W ciągłej stąd z tym papieżem styczności, Ghislieri uchodził odtąd za najwierniej mu oddanego sługę, a później za przedstawiciela prądów z czasów jego pontyfikatu. To też wrogie stanowisko, jakie następujący po nim Pius IV wobec rodu Caraffów zajął, stracenie za jego rządów powikłanych w sieć nowych zbrodni nepotów Pawła IV, mogło być po ludzku zamącić zgodę pomiędzy stronnikami papieża Pawła a krewnym papieża Piusa. Ale św. Karol nie zważał na takie względy lub na możliwe stąd dla siebie skutki. „Postanowiłem — pisał zaraz po elekcji do infanta portugalskiego, kardynała Henryka — nie zważać przy wyborze papieża na względy osobiste i nie kierować się uczuciem, ale chciałem mieć tylko na oku dobro wiary i pożytek Kościoła. Że mi zaś pobożność, nieskazitelność i gorliwość kardynała aleksandryjskiego dobrze były znane, więc byłem zdania, iż on najlepiej społecznością chrześcijańską rządzić zdoła, i dlatego dołożyłem wszelkich starań, ażeby wybór padł na niego.”

Zaufanie to odplacił mu Pius V w całej pełni. Lud rzymski powitał atoli nowy wybór z niepokojem, iż powrócą dawne, zbyt twarde Pawła IV rządy. „Niech teraz szemrzą — mawiał powia-

domiony o tem Pius V — tem goręcej mnie opłakiwać będą, kiedy umrę.” I przewidywał słusznie. Bo aczkolwiek wymagający i nieraz surowy, sprawiedliwością umiał on sobie jednać serca. Rzymianie wnet przyłgnęli do tego świętego starca o pogodnych oczach i dłuższej siwej brodzie, którego spotykali często, kiedy rozmodlony i jakby zapałtrzony w zaświaty wodził procesję od św. Piotra do Lateranu i tam na klęczkach wstępował na Scala Santa. Na dworze watykańskim strzegł owej prostoty, która tam zapanowała zaraz po soborze; krewnych nie wywyższał, a niektórych, przybyłych po jego elekcji do Rzymu, tego samego dnia wyprawił zpowrotem do domu; ostrą zaś bullą zakazał ziem kościelnych nadawać jako lenna. W zgodzie z sąsiednimi państwami zdołał tę harmonję do ważnego użyć celu: za jego staraniem zebrana i połączona flota chrześcijańska odnieść miała walne zwycięstwo nad Turkami pod Lepanto, a gloria tej morskiej krucjaty opromieniła zachód jego życia. Mógł więc św. Karol ze spokojem opuścić Rzym na dobre: wiedział, że Pius V zechce i zdoła czuwać skutecznie nad rozpoczętem dziełem naprawy i że będzie w całej pełni mężem wedle ducha uchwał trydenckich. Upewniwszy sobie jeszcze na koniec opiekę nowego elekta nad wypracowanem już i gotowem wydaniem katechizmu, brewjarza i mszału, owocem ostatnich swoich prac w wiecznem mieście, pożegnał więc Rzym i udał się na stały pobyt do swej medjolańskiej diecezji.

Prowincja kościelna medjolańska, obejmująca piętnaście biskupstw, wrzynana się głęboko poza granice Lombardji w ziemie weneckie, niemieckie i szwajcarskie, a sięgała na zachód aż po liguryjskie wybrzeża Śródziemnego morza. W chwili obejmowania duchownych rządów przez św. Karola panowały w niej stosunki oplakane. Od stu lat blisko nie widzieli byli wierni tamtejsi pasterza, gdyż arcybiskupi przebywali zawsze poza Medjolanem i tylko przez zastępców wykonywali władzę. Prócz tego rozgrywające się od kilkudziesięciu lat nieustannie na ziemi lombardzkiej walki pomiędzy Francją a Hiszpanją, zakończone nałożeniem na północne Włochy twardego hiszpańskiego jarzma zrujnowały te żyzne przedtem okolice i zdemoralizowały je do głębi. Ponury ich obraz kreśli biograf św. Karola, Giussano. Duchowieństwo, za długo pozbawione nadzoru, uległo było zupełnemu zeświecczeniu. Wraz ze suknią duchowną porzucili księża i obowiązki swego stanu, a żyli w niemoralności i zepsuciu. Przebywając często zdala od nadanych im posad, nie troszczyli się o służbę Bożą, ani o powierzone kościoły, które zaniedbane i zrujnowane chyliły się do upadku. Wielu z nich nie umiało już nawet wcale formuł sakramentalnych. Nie byli więc w stanie spełniać funkcji kościelnych, a natomiast złym przykładem szerzyli zgorszenie. Lud, pozbawiony pierwszych zasad wiary, wracał do przesądów, zabobonów i czarów. Nie brakło takich, którzy ani razu w życiu nie przystąpili do Sa-

kramentów, a wielu nie nauczyło się nigdy pacierza i nie umiało się nawet przeżegnać. To też kościołów, w których nie odprawiano się nabożeństwo, używano często na inne cele: w niedzielę i święta odbywały się w nich jarmarki, zresztą służyły za miejsce zebrań, zabaw i tańców, czasem zapędzano tam na noc trzody, lub młócono w nich zboże. W takim samym, jeżeli nie w większym jeszcze stopniu uległy były klasztory w ciągu wieków rozluźnieniu reguły i dyscypliny. Przełożeni żyli w wygodach i zbytku, a zakonnicy w gnuśności i zdziczeniu. Były wyjątki, ale nie było ich dosyć, i przeważnie były zewsząd w oczy nieład, bezkarność i zepsucie.

Opowiadają, że św. Karol płakał nieraz gorzkimi łzami, spotykając na każdym niemal kroku tyle nędzy moralnej. Widok jej dawał mu zresztą miarę trudu, który go czekał. Ale skory zawsze do wszelkich zadań naprawy, tem silniej teraz postanowił nie opuszczać do śmierci powierzonej mu trzody i każdą odtąd chwilę już tylko na jej służbę poświęcać. Wpierw oddał zarząd dóbr rodzinnych krewnym, aby obok zawiadowania diecezją żadnym innym nie być krępowany obowiązkiem; otoczył się równocześnie doborowem gronem ludzi, których z rozmaitych stron powołał do swego boku; urządził następnie dom własny na modłę duchowną z klasztornym we wspólnem pożyciu podziałem czasu pomiędzy modlitwą i pracą, i przygotowawszy w ten sposób warsztat i narzędzia, zabrał się żarliwie do dzieła.

Reformę oparł przede wszystkim na zleceniach soboru trydenckiego. Wychowanie przykładowego duchowieństwa, wspólne tegoż duchowieństwa narady nad potrzebami wiernych na synodach diecezjalnych, a biskupów na soborach prowincjonalnych, podnoszenie poziomu zapomocą szkół chrześcijańskich, wreszcie nieustanne wizyty pasterskie w obrębie całej prowincji kościelnej, to były główne linje, które sobie wytknął. Sobór trydencki polecił był otwieranie seminarjów duchownych przy poszczególnych katedrach biskupich. Rzecz była nowa, albowiem dotąd kształcili się klerycy wspólnie z innymi scholarami na świeckich wszechnicach. Odkąd w nich jednak humanizm wyparł scholastykę, a prądy często wprost antychrześcijańskie brały górę, stały się te nauki dla przyszłych duchownych nieodpowiednie, nieraz zgubne, i Kościół musiał ująć znów i skupić ich wychowanie we własnych rękach. Głębiej od innych odczuwał tę potrzebę kardynał Boromeusz, odkąd patrzył z bliska na duchownych, jakich we własnej zastał diecezji. Z doraźnym śpiesząc ratunkiem, otworzył więc w krótkim przeciągu czasu pięć seminarjów. W trzech mniejszych, założonych poza Medjolanem, chowali się młodzi chłopcy, przeznaczeni do stanu duchownego, a wybrani z najlepszych uczniów szkółek parafjalnych. Pobierali oni w tych małych seminarjach nauki, odpowiadające nowoczesnym liceom, dopełniane służbą liturgiczną i nauką śpiewu kościelnego, a w miarę dorastania i postępu przechodzili do wyższych semi-

narjów medjolańskich. Tych było dwa: wyższe z pełnym kursem teologii i filozofji, nauką kaznodziejstwa i z zupełnem wprowadzeniem w życie duchowne, oraz drugie niższe, przeznaczone dla mniej ukwalifikowanych i uzdolnionych uczniów, w którym wykładano Pismo święte i katechizm, przygotowując w ten sposób skromniejszych pomocników dla duszpasterzy, lub na inne odpowiednie miejsca. Piąte seminarjum było wreszcie niejako szkołą i przytułkiem poprawczym. Tam zwykle św. Karol tych duchownych umieszczał, których w ciągu wizyt pasterskich bądź dla braku wykształcenia, bądź z powodu nagannego życia za nieodpowiednich do spełniania funkcji kościelnych uznał. Rozpoczynali oni w tem seminarjum na nowo pod rygorem duchownym naukę, zaczem według postępu lub poprawy wracać mogli na dawne lub inne, nowo im wyznaczone stanowiska. Niepoprawni zaś byli w tym przytułku odcięci od dawania złego przykładu na zawsze.

Wybór seminarzystów zastrzegł św. Karol sobie samemu, zaznajamiał się z nimi na samym wstępie, badał stan ich duszy i umysłu i w ten sposób od początku dokładnie znał każdego z powołanych do przyszłej pracy w diecezji. Corocznie odbywał po dwakroć wizytację owych zakładów, wglądał w każdy szczegół, badał stan nauk oraz postępy w życiu duchownem, dyscyplinę i obyczaje kleryków, poczem po ukończeniu studjów wyznaczał każdemu pole pracy. Koszta utrzymania seminarjów

i seminarzystów ponosił sam bądź z dochodów diecezjalnych, bądź z zarządzonych składek, bądź wreszcie z podatku, który w tym celu na' duchowieństwo nałożył. Ilekroć zaś biskup z innej jakiej diecezji lub kraju do Medjolanu zawitał, zawsze go św. Karol do tych swoich zakładów prowadził i uroczyste mu tam gotował przyjęcie. W ten sposób stawiał innym przed oczy wzór, wedle którego krzewiły się coraz szerzej zasady duchownego wychowania, i można powiedzieć, że te zasady Bó-romeuszowe stanowią aż po dziś dzień podstawę nowoczesnych seminarjów.

Równocześnie św. Karol przystąpił do zakładania szkół świeckich. Rozpoczęte skromnie od popołudniowych nauk niedzielnych i świątecznych dla dzieci w kilku zaledwie kościołach miejskich, przekształciło się zczasem to ulubione jego dzieło w wielkie stowarzyszenie szkół nauki chrześcijańskiej. Stowarzyszenie to, złożone z ludzi świeckich, oparł on o założony w tym samym czasie zakon oblatów, któremu powierzył ogólny kierunek nauczania. Wszystkim zaś plebanom gorąco zalecił, aby ułatwiali członkom stowarzyszenia otwieranie podobnych szkółek w każdej o ile możliwości parafji. W podróżach pasterskich szczególną uwagę zawsze tym szkołom poświęcał, odwiedzał je pilnie, wspomagał radą, a z nauczycielami, według świadectwa współczesnych, obcował „jakby z synami lub braćmi”. „Odtąd też — powiada biograf jego Giussano — zaroilo się w dni świąteczne w kościołach od męż-

czyn, kobiet i dzieci, z których jedni nauczali, drudzy uczyli się, a zewsząd rozbrzmiewały litanje, hymny lub psalmy, któremi ci uczniowie nauki chrześcijańskiej wielbili Boga. I po niedługim czasie w okolicach, gdzie starsi ludzie nie umieli już ani Modlitwy Pańskiej ani Pozdrowienia Anielskiego, dzieci uczyły teraz pacierza rodziców." Starszyzna, wybierana co roku z cechów rzemieślniczych w Medjolanie, stanęła z wolą św. Karola na czele stowarzyszenia, a on sam nadał mu statuty. Od tej przełożonej rady zależały wszystkie rozgałęzienia po innych miastach i po wsiach, aż po najdalsze granice diecezji. Organizacja była ścisła i na silnej oparte podstawie, aby, wedle życzenia założyciela, móc go samego przetrwać i obyć się kiedyś bez serdecznej jego opieki. To też ze zdumiewającą szybkością zapalały się jedne od drugich po wszystkich okolicach te płomyki wiary i uobyczajenia wśród młodszych pokoleń, i z chwilą śmierci św. Karola już siedmset takich szkół obejmowało jak siecią całą diecezję medjolańską, a czterdzieści tysięcy dzieci pobierało w nich naukę chrześcijańską.

Aczkolwiek z natury raczej do absolutnego działania skłonny i umięjący zawsze przy każdej organizacji najstosowniejsze sam znajdować środki, zwykł był przecież kardynał Boromeusz w każdej sprawie zasięgać także zdania innych i wszystkie odpowiedzialne czynniki skupiać w pierw do rady. Zaświadczał tem pokornie o poczuciu własnej niemocy i chętnie chciał się dzielić zasługą, a prócz

tego słusznie doceniał, ile siły dodaje przy wykonaniu uchwały współudział w jej powzięciu. Prócz tego wielka rozbieżność, wywołana powszechnym zamętem u schyłku wieków średnich, zmuszała teraz wobec nurtujących wszędzie nowości do skupiania się w jednolitą spójnię. Dlatego zalecił był sobór trydencki zwoływanie synodów diecezjalnych oraz soborów prowincjonalnych. Św. Karol sumiennie tego przestrzegał. Materiał do synodów przygotowywał sam według własnych doświadczeń, zebranych na wizytach pasterskich oraz na podstawie relacji, zdawanych mu przez wizytatorów, którzy z jego ramienia objeżdżali diecezję. Całe duchowieństwo gromadził następnie w Medjolanie, a po solennej procesji na grób św. Ambrożego otwierał synod. Cokolwiek dotyczyło diecezji, co mogło w niej dźwigać wiarę i naprawiać obyczaje, wszelkie jej potrzeby, szukanie środków zaradczych, a potem ocena ich skutków, — wszystko to było treścią roztrząsań i narad, a jeden z częstych uczestników tych synodów opowiada, jak sam kardynał „napominał, poprawiał, uczył i świętym żarem zapalał wszystkich w słowach gorejących taką miłością, że jak ostre strzały wnikały w serca słuchaczy”. To, co był już wypróbował we własnej diecezji, mógł następnie stawiać za wzór zwoływanym co trzy lata synodom prowincjonalnym.

Największą atoli gorliwość rozwijał św. Karol w nieustannych osobistych wizytacjach diecezji. Na rozległych jej przestrzeniach nie było tak dalekiego

zakątką, gdzieby nie dotarł. Podróże te odbywał na koniu lub na mule, a w górach, gdzie nie było innego dostępu, z kijem góralskim w rękę i piechotą, przebywając nieraz na czworaku strome przełęcze, byle dotrzeć do celu odwiedzin. W tych wycieczkach apostołskich towarzyszyło mu tak szczupłe grono służby duchownej, że sam jej nieraz pomagał w dźwiganiu tobołów podróжных. Zresztą w drogę zabierał tylko niezbędne sprzęty kościelne i kilka ksiąg treści pobożnej, a nie dozwalał wozić za sobą jakichkolwiek prowiantów lub przedmiotów służących ku wygodzie. Sam żywił się prostą przygodną strawą, chlebem i wodą na dolinach, mlekiem i kasztanami w górach. Choć wizytacje te odbywały się zwykle w lecie, najgorętszą właśnie dnia porę wybierał na przenoszenie się z jednego miejsca na drugie, mówiąc, że w ten sposób najwięcej zaoszczędza czasu, bo w godzinach spieki zwyczajem południowców wszyscy się układają do snu, i gromadzić ludu nie można. Za regułę przyjął, aby nigdy nie stawać w zajeździe lub gościnie u możnych, tylko zawsze mieszkał na plebanji, a gdzie jej nie było, choćby w ubogiej chacie. Stąd często przychodziło mu nocować na twardych deskach lub na ziemi. Za posłanie służyła mu wiązka słomy, lub pęk suchych liści. Skromny w zwykłym obejściu, przy nabożeństwie natomiast powagą i podniosłością taki roztaczał majestat, że już tem działał na wyobraźnię wiernych i kruszył ich serca. To też po przybyciu jego do parafji, z najdalszych

okolicznych zakątków zbiegano się tłumnie, aby zobaczyć pasterza i słów jego słuchać. Wizytacja rozpoczynała się zawsze od wspólnej modlitwy w kościele i kazania, a treścią tej pierwszej nauki było zazwyczaj to, co na mocy wpierv odebranych sprawozdań uważał św. Karol za najpilniejszą potrzebę parafji i w czem leżała przyczyna złego, które chciał wypełnić. Następowwały szczegółowe oględziny kościoła, przyborów, sprzętów i ksiąg kościelnych, potem probostwa, cmentarzy, bractw i szpitali, oraz — gdzie już istniały — szkótek nauki chrześcijańskiej. Drugiego dnia po solennem nabożeństwie i rozdaniu komunji wiernym udzielał kardynał Sakramentu bierzmowania. Lubił nadto przy takich sposobnościach schodzić pomiędzy lud prosty i słuchać jego skarg i żalów, zwaśnionych zaś kazał przywozić przed siebie i ojcowską namową godził stare spory i zażegnywał kłótnie. Odtąd już każda taka parafja wryta była na zawsze w dziwnie ścisłej jego pamięci; czuwał nad nią troskliwie, śledził przez wizytatorów dalszych jej losów i badał, jakie skutki jego zarządzenia wywarły. A jakby śladem jego apostojskich kroków dźwigały się z gruzów, gdziekolwiek stąpił, wiekiem lub niedbalstwem powalone świątynie, lub rosły na ich miejsce nowe, które potem sam zawsze kolejno poświęcał.

Dzisiaj wiele z tych czynności zamieniło się na powszedni niemal obowiązek każdego gorliwszego biskupa. Ale gdy się zważy, że naówczas

było to wszystko nowością, że św. Karol pierwszy wcielił w ten sposób zasady wielkiego soboru i pierwszy wskazywał, jak je odtąd biskupi katolicycy stosować powinni; gdy się zważy, wśród jakich to czynił warunków, kiedy świat w jednej połowie niecałkiem przebudzony jeszcze ze zmysłowych odurzeń, w jakich go ukołysało Odrodzenie, a w drugiej już zatruty błędem nowych kacerstw, szukał dopiero poomacku wyjścia ku światłu i prawdzie; kiedy się zważy przedewszystkiem, jak kornie i z jakim zaparciem się siebie, w jakim trudzie i znoju podejmował on tę służbę Bożą w obrębie tych samych lat stu, w którym tak innem życiem żyli, tak odmiennym rozgłosem świat napelniali owi pokrewni mu znakomitością rodu, zaszczytami i stanowiskiem nepoci i książeża Kościoła dawnego pokroju; — wtedy prawdziwy podziw wzbudza ta wielka postać kościelnego Odnowiciela, zesłana przez Opatrzność w chwili przełomu na wzór dla dalszych duchownych pokoleń.

Opowiadają, że gdy pewnego razu kardynał Boromeusz ganił któregoś z biskupów za niepilnowanie obowiązku rezydencji na posadzie, ten się wymawiał, iż ma tylko małą, więc nie wymagającą tylu starań diecezję. „Jako — zawołał św. Karol — nie jestże straż nad jedną choćby duszą ludzką już tego warta, ażeby cały żywot na ten cel poświęcić?” W tych słowach streszczał tajemnicę własnego życia.

VIII.

Wrogie knowania.

Spokój i równowaga, któremi się św. Karol odznaczał zawsze, stawały mu się teraz jeszcze potrzebniejsze wobec piętrzących się na jego drodze licznych przeciwności. Najwięcej przeszkód spotykał może w samej stolicy, w Medjolanie, gdzie zawsze najpierw wypróbowywał każdą nową reformę. Trudnym był szczególnie stosunek do władz hiszpańskich, które dotąd wszechwładne, zazdrośnem teraz okiem spoglądały na arcybiskupa, pilnującego tak ściśle praw Kościoła. Mianowicie w drażliwej kwestji jurysdykcji kościelnej, zagarniętej w czasie długiego bezkrólewia przy archikatedrze przez rząd świecki, a o którą się kardynał Borromeusz w każdym wypadku stanowczo upominał dla siebie, przychodziło często pomiędzy obiema władzami do starcia. Starcia te zaś rozzuchwalały naturalnym rzeczy porządkiem wszystkie żywioły przeciwne reformom nowego arcybiskupa, ukrócającym własne ich nadużycia. Najjaskrawiej wystąpiło to w głośniejszej sprawie kanoników kolegiaty S. Maria della Scala. Zatarg ten wybuchł w czwartym roku pobytu św. Karola w diecezji. Kolegiata Scali, fundowana w XIV wieku przez Beatrycę della

Scala, małżonkę osławionego okrutnika, Barnaby Viscontiego, należała do najbogatszych w Medjolanie, ale zarazem i do tych, które z biegiem czasu zupełnemu uległy zeświecczeniu. To też gdy w ciągu wizytacji klasztorów i zakonów stołecznych kolej na nią nadeszła i kardynał już jej kanonikom przyjscie swoje zapowiedział, podnieśli oni protest, bo wiedzieli, że wizytacja będzie dla nich nieuniknionej reformy wyrokiem. W tym celu powołali się na bullę Klemensa VII, która poddawała ich drogą przywileju pod bezpośrednią jurysdykcję papieską. Ale bulla zastrzegała wyraźnie arcybiskupom prawo zgodzenia się lub sprzeciwienia takiemu ograniczeniu ich władzy, a że żaden z poprzedników św. Karola nie był się dotychczas w tej mierze oświadczył, rzecz pozostawała w zawieszaniu, Pius V zaś, po przedłożeniu mu sprawy, wyraźnie kardynała Boromeusza do wizytacji upoważnił. Ufni w poparcie rządu hiszpańskiego, trwali jednak zbuntowani kanonicy w dalszym oporze. Kardynał przedłużał im kilkakrotnie termin do namysłu. Gdy jednak terminy przemijały daremnie, postanowił działać.

Dnia 24 sierpnia 1569 r., przywdziawszy strój pontyfikalny, który zawsze przy wizytacji kościołów nosił, a poprzedzony krzyżem arcypasterskim, stanął przed kolegiatą, kiedy z jej bram runęła na niego zgraja uzbrojonej czeladzi. Wśród obelg i wygrażań rzucono się najpierw na niosącego krzyż na przedzie kleryka, aby pochód do odwrotu zmusić.

Ale św. Karol sam po krzyż sięgnął i ujawszy go w dłonie, zwrócił się spokojnie ku otwartym drzwiom kościelnym. Napastnicy ruszyli za nim, padło kilka strzałów i jeden z nich ugodził nawet w drzewo krzyża niesionego przez kardynała. On sam przecież, nie wstrzymując kroku, wstępował już na stopnie prowadzące do kościoła, kiedy się nagle wrota przed nim zawarły i od wnętrza spuszczone wrzeczyadze.

Wrogowie reformy w Medjolanie triumfowali, a podburzany przez nich lękliwy namiestnik Filipa II zwracał się do papieża z żądaniem usunięcia arcybiskupa, oskarżał go, że wznieca w mieście rozruchy, że lekceważy i podkopuje powagę zastępców katolickiego króla. Pismo kończyło się groźbą, że inaczej sama władza świecka potrafi zrzucić go ze stolicy i wydalic z Medjolanu. W otoczeniu św. Karola ludzie małoduszni doradzali mu ustąpić i opuścić miasto. Ale on ani na chwilę nie przerwiał zwykłego trybu pracy. Próba przecież była ciężka, a zaostrzyła się jeszcze, gdy ubezpieczeni opieką władzy hiszpańskiej kanonicy Scali na nałożony przez kardynała interdykt ze swej strony odpowiedzieli samowolnym interdyktem i zuchwały dokument przybili na bramach tumu oraz innych kościołów miasta. I tak wzniecony zamęt coraz szersze zataczał kręgi, kiedy zaszedł groźniejszy wypadek, który właśnie swą grozą dodatnio miał wstrząsnąć sumieniem wiernych.

Na miejscu, gdzie w dzisiejszym Medjolanie stoi słynny ze swej galerji obrazów pałac Brery,

za czasów św. Karola wznosił się klasztor humiljatów. Założyło go w XII w. grono patrycjuszów medjolańskich, którzy po powrocie z ciężkiej niewoli niemieckiej za Hohensztaufów w rodzinne strony zamieszkali wspólnie i przyjęli regułę św. Benedykta. Zakon ten nie rozszerzał się poza granice Lombardji, w ich obrębie atoli doszedł do znaczenia. Ale po kilku wiekach wtargnęły i tam prądy świeckie, rozluźniając pierwotną dyscyplinę. Kiedy kardynał Boromeusz obejmował rządy diecezji, liczyli humiljaci osmdziesiąt klasztorów, rozsianych po rozmaitych okolicach, w nich jednak mieściło się zaledwie jakie półtorasta zakonników. Przełożeni zamienili samowolnie trzechletnie swoje przełożęństwo na dożywotnie, podzielili między siebie dobra klasztorne i opływali w dostatki, nie troszcząc się zgoła o niższą brać zakonną, która odnawiana bez wyboru i puszczona samopas, zarzuciła czasem wszystkie obowiązki zakonne. Ażeby tym nadużyciom położyć koniec, uzyskawszy wprzód pozwolenie Piusa V, kardynał Boromeusz zwołał przełożonych humiljatów w czerwcu 1569 r. na kapitułę generalną do Cremony i stanąwszy pomiędzy nimi, wezwał ich do natychmiastowego przywrócenia pierwotnej reguły zakonnej: przedewszystkiem zwrócić mieli nieprawnie zawładnięte dobra na wspólną własność zakonną, otworzyć nowicjaty i zaprowadzić ponowne, co trzy lata powtarzać się mające wybory starszyzny.

Widząc, że wyrok był nieodwołalny, a opór zbyt znaczny, postanowili najzuchwalsi z nich uciec

się do zbrodni. W tym celu uknuli spisek na życie groźnego dla nich reformatora. W samym zakonie znalazł się zwyrodniały mnich, nazwiskiem Farina, który się podjął wykonania. Za cenę krwi przeznaczono mu dochód ze sprzedaży srebrnych naczyń kościelnych, zrabowanych w tym celu w jednym z kościołów medjolańskich. Zamachznaczony był na 27 października. Wieczorem dnia tegoż, tak jak to zawsze czynił, zebrał był św. Karol domowe swoje otoczenie na wspólną przed spoczynkiem modlitwę. Drzwi komnaty, zamienionej na oratorium, naocież były otwarte, aby dostęp był i dla wiernych z poza grona domowników wolny. Kardynał klęknął był właśnie przed ołtarzem i rozpoczynało się nabożeństwo odśpiewaniem motetu Orlanda Lassa do słów *tempus est ut revertar ad eum qui me misit*, kiedy nagle od progu padł strzał. Porwali się wszyscy z miejsc, otaczając kołem kardynała, ale on skinął, żeby się uciśzono i wznosząc oczy i ręce ku niebu, dokończył z przejściem modlitwy. Ugodzony w plecy, sądził, że rana jest śmiertelna. Ale po zbadaniu okazało się, że kula pomieszana z siekańcami obsunęła się po szatach i padła na ziemię, siekańce zaś wbiły się w stół i w przeciwległą ścianę. Tylko osmolona komża i nabrzmiały na plecach siniec wskazywały, gdzie mierzył zbrodniarz.

W mieście odrazu zakotłowało. Lud cisnął się do pałacu arcybiskupiego, i w mig obiegła cały Medjolan wieść o cudownem ocaleniu kardynała.

Namiestnik rozkazał zamknąć bramy miejskie, żeby złoczyńca nie uszedł, a sam przybiegł natychmiast na miejsce zbrodni, aby osobiście prowadzić dochodzenia. Lecz św. Karol prosił o zaniechanie dochodzeń, bo, jak powtarzał, za nic miał sobie zamach, skierowany tylko przeciw jego osobie, po tylu innych gorszych, zwróconych przeciw Kościołowi i prawom kościelnym. W podobnych słowach odzywał się w liście do papieża: „Nie przez wzgląd na mnie — pisał — niegodnego sługę, udaremniła to przedsięwzięcie w tak osobliwy sposób Opatrzność, ale ze względu na miejsce i urząd, jaki piastuję, oraz ażebym miał czas na pokutę, której mi tak wielce potrzeba. Stąd cieszyć się nam raczej z tej przygody, aniżeli boleć nad nią wypada. To też co do mnie, to gorące dzięki Bogu składam i tuszę, że zejdzie z tego może jakie dobre ziarno na cześć i większą Jego chwałę.” Odmówiwszy więc straży, którą mu namiestnik ofiarował, rozkazał nazajutrz, aby drzwi pałacu i nadal dla wszystkich stały otworem, a radował się szczególnie widokiem wzrastającego zastępu wiernych, przybywających z miasta na domowe jego nabożeństwa, które codziennie, jak wprzód, na tem samem odprawiał miejscu.

Więść o ocaleniu kardynała Boromeusza rozniosła się szybko po całym katolickim świecie. Szczególnie silne wrażenie wywarła na dwór madrycki i na Filipa II, który natychmiast zalecił lombardzkiemu swojemu namiestnikowi wszelką w sprawie

jurysdykcji względem władzy kościelnej ustępliwość, aby uniknąć choćby cienia łączności ze zbuntowanymi mnichami. Równocześnie Pius V surowo przeciw kolegjacie Scali i zakonowi humiljatów wystąpił. Członkowie kolegjaty ukorzyć się musieli publicznie u bram katedralnych przed arcybiskupem, który ich własnym wstawiennictwem od cięższych kar, jakimi groził papież, uwolnił. Po odbyciu przepisanej pokuty i złożeniu solennej obedjencji przed wielkim ołtarzem w tumie, zwolnieni zostali z cenzur kościelnych, a kościół ich z interdaktu. Twardszy wyrok padł na humiljatów. Napróżno nawet i za nimi wstawiał się św. Karol, napróżno obiecywał w Rzymie, że dołoży wszelkich starań, aby ich do pokuty i naprawy skłonić. Pius V uznał, że przebrała się miara, nie dał się przebłagać i ogłosił kasatę ich zakonu. Klasztory humiljatów, leżące w Medjolanie, a oddane teraz przez papieża arcybiskupstwu, podzielił św. Karol pomiędzy liczne swoje fundacje: w jednym umieścił seminarzystów, w drugim później Collegium Helveticum, inne jeszcze przeznaczył na konwikt dla lombardzkiej młodzieży szlacheckiej, a główny klasztor, Brerę, oddał na pomieszczenie szkół sprowadzonym do Medjolanu jezuitom. Opiekę roztoczył nawet nad samym sprawcą zamachu Fariną, który zrazu uciec i skryć się zdołał. Prośby kardynała, żeby śledztwa i ścigań zaniechać, były jednak daremne. Schwytany w jednej z nadgranicznych twierdz księcia sabaudzkiego, gdzie pełnił najemną służbę

żołnierską, i wydany władzy świeckiej, skończył Farina na rusztowaniu.

Na czas procesu opuścił św. Karol Medjolan i rozpoczął nową wizytację katolickich kantonów szwajcarskich. Los ich tem bardziej leżał mu na sercu, że oddalenie od metropolji i trudny do wielu miejscowości dostęp, wszelkie życie religijne do większego tam jeszcze aniżeli w innych okolicach doprowadziły zaniku. Ponadto wiecznem niebezpieczeństwem było tam bliskie sąsiedztwo Genewy, tej głównej uczniów Kalwina twierdzy, którzy gorliwą naokoło szerzyli propagandę. Aby temu przeciwdziałać, św. Karol przedewszystkiem nawiązał zbyt dotąd luźne lub całkiem pozrywane nici pomiędzy Rzymem a Szwajcarją i wyjednał u Stolicy Apostolskiej wyznaczenie stałego dla tego kraju nuncjusza. Związanie się natomiast kantonów katolickich w „złoty bundzie”, zwanym także Boromeuszowskim, ostrem niewątpliwie narzędziu kontrreformacyjnem, z powodu którego pisarze protestanccy tak gwałtowne przeciw św. Karolowi zarzuty podnosić zwykli, nie było jego dziełem i nawet dopiero we dwa lata po jego zgonie przyszło do skutku. Głównym zato owocem tej pasterskiej podróży był powzięty w ciągu niej zamiar otwarcia osobnego seminarjum duchownego dla wychowania księży szwajcarskich w Medjolanie, wspomnianego już Collegium Helveticum, które potem dostarczało przez dwa wieki kantonom katolickim rodzimych duszpasterzy i przyczyniło się tak wielce do

uratowania katolicyzmu w południowej Szwajcarii. Do urzeczywistnienia tego zamiaru św. Karolowi pomoc niebawem miała szczególna właśnie na polu edukacyjnym gorliwość i hojność następcy Piusa V na Stolicy Apostolskiej.

Papież Pius V o kilka miesięcy bowiem tylko przeżył triumf swej polityki, walne zwycięstwo nad Turkami pod Lepanto, i w maju 1572 r. rozstał się z tym światem. Aczkolwiek ciężką właśnie złożony niemocą, św. Karol postanowił zaraz ruszyć do Rzymu, ażeby uczestniczyć w wyborze nowego papieża. Napróżno przestrzegali go lekarze, że podróż w takim stanie zdrowia życiem może przypłacić. Przestrogi nie skutkowały, i niesiony w lektyce puścił się w daleką drogę, a kiedy w okolicach Bolonji muł, objuczony na zlecenie medyków lekami, potknął się i cały swój apteczny ładunek wrzucił do rzeki, św. Karol śmiejąc się powtarzał, że wldzi w tem zapowiedź i rękojmię szybkiego powrotu do zdrowia. Jakoż istotnie przybył bez szwanku do Rzymu i 11 maja zamknął się z innymi kardynałami w conclave. Już następnego dnia dokonano wyboru, a wybór ten odpowiadał zupełnie myśli i życzeniom kardynała Boromeusza. Bo nowy elekt, Ugo Buoncompagni, który pod imieniem Grzegorza XIII obejmował rządy kościelne, należał do dobrych i dawnych jego przyjaciół. Rodem z Bolonji Grzegorz XIII poświęcał się od młodu nauce kościelnego prawa i jako biegły kanonista wybitny w obradach soboru trydenckiego brał udział.

Za panowania Piusa IV zbliżyła go wspólna w kancelariach papieskich służba do Boromeusza, wstąpił do watykańskiej jego akademji i właśnie dzięki wszechmocnemu naówczas siostrzeńca papieskiego wpływowi wyniesiony został do godności kardynalskiej. Prosty i z usposobienia łagodny, w zdaniu bywał stanowczy, i bawiący na jego dworze przez jakiś czas Montaigne pisał, że „straciłby czas, ktoby się zdaniu jego przeciwieć ważył”. W gronie kardynałów należał zawsze do stronnictwa reformy kościelnej, a za główne jej narzędzie uważał przede wszystkim wychowanie katolickie.

To też na tem polu rozwinął po przyjściu do władzy jak najszerzą działalność. W samym Rzymie zawdzięczają mu powstanie istniejące po dzień dzień kolegia angielskie, greckie, maronickie i neofitów. Collegium Germanicum znacznie powiększył i wyposażył, a dla założonego przez św. Ignacego Collegium Romanum zbudował ogromny, całą południową połąć dzisiejszej Piazza S. Ignacio, obejmujący gmach uniwersytetu, zwanego na pamiątkę po nim gregorjańskim. Zresztą nietylko w Rzymie i we Włoszech, ale i poza ich granicami powstające za jego rządów liczne szkoły jezuickie we Francji i w Niemczech, na Węgrzech i w Polsce, miały w nim hojnego zawsze opiekuna i dobroczyńcę, tak iż powiedzieć można, że z nim rozpoczyna się ów wielki katolicki ruch edukacyjny, który wypełnia cały następny wiek XVII i tak znamiennej nadaje mu cechę.

Radykalnem było zaiste przeobrazenie pojęć naprawy, dokonane u szczytu hierarchji w ostatnich kilku lat dziesiątkach. Do niedawna jeszcze sądzono w Rzymie, że wysłanie poselstwa, dyskusja, zakaz lub groźba wystarczą na zażegnanie buntu lub poskromienie odstępstwa. Teraz, po soborze trydenckim dojrzało przekonanie, że należy odnowić z gruntu umysł, serce i obyczaj wiernych, aby zabezpieczyć wiarę. Droga takiego odnowienia było wychowanie innej, na inną modłę kształconej, tak duchownej jak i świeckiej generacji. Zadanie było tem trudniejsze, że inicjatywa wtłaczająca odporną i bez tego wobec wszelkich zmian naturę ludzką w nową retortę, wychodziła od zwalczanego właśnie w tej epoce z tyłu stron i tak namiętnie Kościoła. Ludzie witali więc te reformy naogół z podejrzeniem i niechęcią. Podobnie kiedy Grzegorz XIII inną zaprowadzał zmianę, która nie sięgała wprawdzie w zakres wiary i moralności, ale była doniosłą, bo zmieniała rachubę czasu i dawny juljańskiego kalendarza porządek, dziwiono się zrazu i niedowierzano tej nowej inicjatywie Kościoła, a cytowany powyżej Montaigne dawał subtelny wyraz tej nieufności, pisząc z łagodnym swoim sceptycyzmem: „Je suis contrainct d' être un peu hérétique par là: incapable de nouvelleté, mesme correctifve.”

Droga kontrreformacji edukacyjnej, na którą wstępował Grzegorz XIII, odpowiadała najzupełniej kierunkowi, który kardynał Boromeusz w swoim

zakresie działania na wszystkich szczeblach od zakładania skromnych szkólek nauki chrześcijańskiej, aż do otwierania seminarjów duchownych, odrazu był sobie wytknął. Spokojny o losy Kościoła i o własne przedsięwzięcia, powrócił więc po elekcji nowego papieża do Medjolanu. Tam inne teraz czekały go próby.

IX.

Działalność św. Karola w czasie morowej zarazy w Medjolanie.

W lipcu 1576 r. św. Karol udał się był na pogrzeb sufragana swojego do Lodi, kiedy go tam postaniec ze złowrogą dogonił wieścią, że w Medjolanie wybuchła zaraza.

Od połowy wieków średnich aż po sam koniec XVII wieku pojawiał się ten straszny gość ze wschodu co lat kilkadziesiąt, nieraz i częściej w Europie, znacząc zawsze swój pochód smugą nieprzeliczonych grobów. Przy ówczesnym stanie nauki lekarskiej i w ówczesnych warunkach higieny ludzie byli wobec dżumy bezbronni. Upatrywali w niej znak widomy gniewu Bożego, z którym ludzka siła nie mogła walczyć. Kto mógł, ratował się ucieczką, choć mór ścigał i zbiegów. Inni z założeniami rękami czekali jakby w odrętwieniu na przyjscie nieubłaganego żniwiarza.

W Medjolanie, wśród starszych pamiętano jeszcze dobrze ostatnią z poprzed czterdziestu kilku lat zarazę. Była to jedna z najstraszniejszych, jakie kiedykolwiek nawiedziły Włochy, a nigdzie tak gwałtownie nie wystąpiła jak w wyniszczonej do ostatka przez głód i ucisk najeźdźców

hiszpańskich nieszczęśliwej stolicy lombardzkiej. Rozpacz doprowadzała lud do szału, i samobójstwa mnożyły się w tak zatrważający sposób, że lekarze w nich drugą obok morowego powietrza upatrywali epidemję, której osobną nawet nadali nazwę. Jakiś mnich hiszpański obchodził z procesjami pokutnymi wały miejskie, a na czele czterech kapłanów niosło monstrancję na skrzyni w kształcie arki przymierza. Tą arką przypominał lud Bogu zawarte z Nim przymierze, i kiedy wnoszono ją do tumu, zrywał się zawsze tak wielki lament i krzyk o zmiłowanie, że zdawało się, jak świadczą współcześni, iż runą od ich rozgłosu olbrzymie sklepienia świątyni.

Z opowiadań starszych ludzi znać musiał św. Karol te wspomnienia, a odczuł sam podobną grozę, kiedy po natychmiastowym powrocie z Lodi wjeżdżał do zadżumionego Medjolanu. Bo znów jak przed jedenastu laty przy solennym jego ingresie wyległ cały lud na ulicę, ale tym razem otoczyły go smutne i zalęknione tłumy, i tylko błagalny okrzyk *misericordia* bił zewsząd ku niemu i przenikał litościwe jego serce. Z głębokiem wzruszeniem padł najpierw na kolana przed wielkim ołtarzem w tumie, wzywając w gorącej modlitwie zmiłowania Bożego nad powierzoną mu trzodą, za którą własne życie składał w ofierze. Wyszedłszy z kościoła, nie wstąpił do przyległego pałacu arcybiskupiego, lecz podążył wprost do dotkniętych zarazą dzielnic, aby z pierwszą śpieszyć

pomocą. A pomoc była tem potrzebniejsza, iż władze hiszpańskie od początku straciły głowę i zawiodły: gubernator umknął do Genui, a wślad za nim wielu urzędników jak i zamożniejszych obywateli chyłkiem opuszczało miasto, w którym rósł nieład i popłoch. To też, gdy zjawili się przed kardynałem zastępca gubernatora i rajcy miejscy, wyznając bez ogródki swą niemoc i prosząc o radę i pomoc, podjął on bez wahania ciężar, który wkładano mu na barki.

Rozpoczął od przygotowania się na śmierć i spisania ostatnich rozporządzeń: tylko fideikomisywowe dobra Boromeuszów oddawał rodzinie; wszystko co było jego własnością osobistą przekazywał szpitalom lub na inne pobożne i miłosierne cele. Z Rzymu jak i z oddanych mu kót w Medjolanie nie szczędzono przestróg, aby nie narażał życia: prawda — powtarzano mu — że czynili tak nieraz święci, lecz nie było to przecież przykazaniem, tylko daleko ponad obowiązek sięgającym stopniem doskonałości. Właśnie taka wyższa doskonałość, odpowiadał św. Karol, powinna być zwykłą biskupa cechą, bo jakżeby mógł poświęcenia od podwładnych żądać, gdyby im sam nie przodował przykładem? Sam się do tego tem więcej czuł zobowiązany, że choć od czasu objęcia rządów dźwignął był już niewątpliwie poziom duchownych, to przecież strach przed pomorem przejmował wszystkich, więc szczupła tylko garstka księży gotowa była zrazu nieść pomoc zadżumionym.

Nawet w najbliższym otoczeniu nie chciano mu z początku towarzyszyć w pierwszej jego samarytańskiej wycieczce. Nie rzekliż ani słowa, sam ruszył na miasto, aż zagrzani przykładem kapelani podążyli za nim. Cały zaś kler kolejno zwoływał do siebie i każdego z duchownych napominał z osobna, aby pomny na wzniosłe postannictwo wyzbył się ludzkiej trwogi i służył nieszczęśliwym. Nie stawiał się przytem sam za przykład, ale gorąco wzywał wszystkich do uczestnictwa w pracy i obiecywał po ojcowsku, że gdyby którego z nich zaraza dosięgła, nie zapomni o nim i sam go weźmie w opiekę. Odtąd przez cały czas zarazy wiernie spełniał daną obietnicę i umierającym kapłanom sam zawsze ostatnich udzielał Sakramentów.

Osobna instrukcja, którą wydał dla duchowieństwa, jest także świadectwem właściwego mu zawsze praktycznego zmysłu. Zalecał w niej środki higieny, ażeby niepotrzebnie nie narażano życia, radził dzielić obsługę wedle możności pomiędzy zdrowych i chorych, aby nie roznosić zarazy, i przypominał, iż nietylko duszom służyć, ale że i w doczesnych sprawach nieść wiernym pomoc należy. I tak np. księża namawiać mieli chorych do wczesnego sporządzania testamentów, ale zakazywał im mieszać się do treści tych rozporządzeń, lub wpływać na testujących o zapisy na Kościół i fundacje. Niebawem też liczny zastęp księży zszeregował się przy nim na duchowną przy chorych służbę, a najgorliwiej pomagały mu w niej młode

zakony kupucynów, jezuitów i barnabitów, które sam był do Medjolanu powołał.

Przedewszystkiem pragnął się kardynał przekonać o stanie szpitala zadżumionych, do którego z każdym dniem więcej wywożono ofiar. W pierwszych więc dniach po wybuchu zarazy skierował tam kroki. Poza miastem, na pustkowiu wznosił się zbudowany jeszcze przez Viscontich na wzór twierdzy ponury czworobok, otoczony głęboką zawodnioną fosą. W środku ciągnął się szeroki podwórzec, a dookoła biegły małe, niby więzienne celki, w których składano nieszczęśliwych chorych. Celki były puste, a w nich na gołej ziemi leżeli zadżumieni, wyczekując śmierci. Widok ten zakrwawił serce św. Karola. Postanowił ulżyć jak najspieszniej doli nieszczęśliwych. Przedewszystkiem wybrał znanego z poświęcenia kapłana i osadził go przy chorych w szpitalu. Równocześnie zaś posłał srebra swoje do mennicy i za otrzymane pieniądze kazał w całym mieście skupywać łożka i niezbędne dla szpitala sprzęty. Ale że rzecz była nagła, więc ogołocił najpierw w tym celu niemal ze wszystkiego pałac arcybiskupi. To też gdy nadszedł wieczór i czas spoczynku, spostrzegli domownicy, że znikło nawet własne kardynała łożko, zastąpione odtąd przez parę twardych, zbitych ze sobą desek.

Wkrótce jednak zabrakło już w starym szpitalu miejsca, więc za poradą kardynała zbudowano szereg baraków u bram miejskich, które św. Karol

znów z własnych środków, składek i zebranych jałmużn zaopatrzył. Ale że rozszerzony zakres wymagał więcej pomocy i dozoru, więc zwoławszy do siebie patrycjuszów medjolańskich, pozostałych jeszcze w mieście, wezwał ich w gorących słowach, aby nie opuszczali nieszczęśliwego grodu, ale owszem trwali w miłosiernej służbie. W tym celu podzielił miasto na kilka okręgów i dla każdego z nich wyznaczył z grona zamożnych obywateli opiekunów dla chorych i ubogich, powierzając im zarząd owych dzielnic. Równocześnie zajęł się także losem ludzi, których opustoszenie miasta i zatamowanie normalnego życia pozbawiło pracy i zarobku. Z tych ubogich, oblegających tłumnie jego pałac i wołających o pomoc, utworzył strażę dla utrzymywania porządku w mieście, innych namówił do służby przy chorych, innych wreszcie, do tych zajęć niezdolnych, rozsadził w kolonjach podmiejskich. Ale nędza, pod zimę wzrastająca w zamkniętem zarazą i prawie odciętem od świata mieście, prócz o przytułek i zarobek wołała i o odzież. Więc znów pierwszą kontrybucję św. Karol na własny swój dom nałożył, a nie mając innych zapasów pod ręką, z własnych szat, z dywanów i makat ściennych kazał szyć ubrania. I wnet zaroilo się w Medjolanie od przybranych w różno-barwne, często purpurowe lub fioletowe szaty ubogich. Ze zdziwieniem spoglądali zrazu medjolańczycy na pstrokate stroje nędzarzy, aż doszedłszy źródła, pochylali z uszanowaniem czoła przed tą

jakoby liberją pasterskiego miłosierdzia. A przykład znów podzielał, bo jałmużny rosły, i panie medjolańskie, pozostałe w mieście, poczęły znosić do pałacu arcybiskupiego kosztowności i klejnoty, aby ratować nędzę.

Wszystko jednak szybko leciało przez ręce hojnego jałmużnika, więc kiedy sam po znojnym dniu do domu powracał, nie było czasem i kawałka chleba na własny jego posiłek. Bo cały dzień schodził mu na miłosiernych wędrownkach, a gdy dnia nie starczyło, czuwał nieraz poza domem i do późnych godzin nocy. Kiedy z początkiem zarazy pojawiał się na ulicach Medjolanu, lud cisnął się ku niemu, klękał i całował mu ręce. Potem, gdy jał odwiedzać szpitale, a zwłaszcza kiedy począł sam przygotowywać zadżumionych na śmierć i udzielać im Sakramentów, bał się szerzyć zarazę i różdżka niesiona przed nim ostrzegała wiernych, że nie wolno się go dotykać, a nawet posłuchań u siebie tylko z poza kraty udzielał. W domach, gdzie liczono już ofiary, i stąd kwarantanną zamkniętych, przy pojawieniu się kardynała na ulicy mieszkańcy do okien biegli, a on przystawał przed domem i słuchał przedkładanych mu przez okna prośb, skarg lub żalów. Dla tych odciętych kontumacją od świata stawiać kazał ołtarze na przecięciach ulic, gdzie odprawiały się msze, których z okien słuchano, a księża spowiadali przez progi i tak samo rozdawali komunję.

Szczególnie na sercu leżał św. Karolowi los sierot po ofiarach dżumy, więc wśród ustawicznych

swych wędrówek zbierał je w opustoszałych mieszkaniach lub na przyzbie domów i odsyłał do schronisk, jakie na ten cel przy klasztorach otworzył. Z osobną pieczołowitością czuwał nad osierociałemi niemowlętami; sprowadzić kazał dla nich mamki, które w osobnym gmachu pod dozorem zakonnic umieścił, i bywało, że w szpitalu lub barakach zdjęte z łoża zmarłej matki dziecię na miejscu chrzcili, we własną otulał szatę i sam do przytułku odnosił.

Wśród ciągłej troski o Medjolan nie zapominał wszakże i o innych częściach diecezji, które także nawiedziła zaraza. Skoro więc tylko urządził służbę miłosierdzia w stolicy, puścił się w drogę na objazd dalszych okolic. Pragnął tam nieść pomoc z nabytego już doświadczenia, a równocześnie skorzystać z ogólnego pod dopustem Bożym skruszenia serc, aby ten czas próby stał się czasem zbawienym, *tempus salutare*, jak go sam zawsze nazywał. Te wędrówki po zadżumionych okolicach były dla niego szczególnie uciążliwe. I tak np. żeby się strzec przed zarazą wśród nieustannej zmiany noclegów, nie kładł się nigdy na posłanie, tylko siedząco zażywał krótkich chwil spoczynku. Gdzie bowiem nie rozchodziło się o służbę Bożą lub pomoc dla bliźnich, sam przezornie przestrzegał zaleconych środków ostrożności, a szczególnie podwładnych duchownych pod tym względem pilnował, karząc surowo lekkomyślne narażanie życia. Ale tak samo poza Medjolanem, w podróży bez wahania wchodził do szpitali i sam umierających

gotował na śmierć. Pewnego razu w Trezzo, gdy udzielał Sakramentu bierzmowania, chory w chwili namaszczenia padł mu do nóg trupem. Kiedy indziej, gdy gdzieś w odleglejszej okolicy przygotowywał na śmierć dotkniętego zarazą kapłana, rozeszła się wieść po kraju, że sam zaraził się i umarł. Wieść dotarła aż do Medjolanu, wywołując taki popłoch między ludem, że powiadomiony o tem św. Karol co prędzej nawrócił do stolicy. W tumie uderzono we dzwony na znak powrotu arcypasterza, a dźwięk ich, zwiastujący dobrą nowinę, powszechną wzbudził radość, jedyną jakiej zaznało nieszczęśliwe miasto w ciągu ponurych, długich miesięcy moru.

W jednej z bocznych kaplic medjolańskiego tumu, okalających chór, spotkać można dziś jeszcze prawie o każdej dnia porze garstkę wiernych rozmodlonych przed wiszącym na ścianie prostym drewnianym krucyfiksem. Jest to krzyż św. Karola, który lud medjolański do najdroższych swoich świętości od trzech już przeszło wieków zalicza i który osobnem zawsze otacza nabożeństwem. Nosił go św. Karol w ręku, kiedy w czasie morowego powietrza wodził błagalne procesje z tumu do kościoła św. Ambrożego, lub której z innych świątyń medjolańskich. W szacie pokutnej, z mnisim kapturem na głowie i z przewieszonym jak u skazańca powrozem na szyi, stąpał boso wpatrzony w postać Ukrzyżowanego. Na obliczu malował mu się tak głęboki żal i skrucha, że ludzie

patrzyli na niego z przejęciem, jakby na nadziemskie jakieś zjawisko. Sam bowiem powtarzał często, że odpowiedzialny za dusze wiernych, które Bóg mu powierzył, także i winy ich na siebie bierze, więc czuli wszyscy, że za nich kajał się w pokucie, byle przebłagać gniew Boży i ukrócić chłostę. Zdarzyło się podczas jednego z takich pochodów, że stąpił niebacznie na porzucone na ulicy ostre żelazo i dotkliwie się okaleczył; ale pochodu ani na chwilę nie wstrzymał i tylko krew obficie z rany płynąca znaczyła jakby męczeńską strugą dalsze jego kroki. Procesję kończył zawsze kazaniem, w którym stawiał poprawę za warunek zmiłowania, a wzywał do stwierdzenia jej czynnem miłosierdziem. Serdeczna namowa doraźny zwykle sprowadzała skutek: po kazaniu zgłaszali się do niego wierni; jedni znosili mu jałmużny dla zadżumionych, inni stawiali do osobistych przy nich postug, a wszyscy korzyli się przed świętym opiekunem i coraz chętniej szli za jego głosem.

Ale przez długi szereg miesięcy trwał pomór, aż dopiero następnego roku zaraza poczęła słabnąć i dogasać, i wreszcie z wiosną mógł św. Karol święcić w dziękczynnem *Te Deum* zupełny jej zanik. W memorjale, spisany na pamiątkę tych dni próby dla diecezjan, wzywał ich, ażeby nie zapominali nigdy, komu zawdzięczali ratunek: „Bo zaprawdę — pisał — nie przyniosła go nam własna przezorność, która nas wszystkich przeciwnie od pierwszej zaraz chwili wśród zamieszania i trwogi

zawiodła; nie wiedza lekarzy, którzy nie zdołali nawet dociec przyczyny złego, a tem mniej skutecznych znaleźć na nie środków; nie czyjakolwiek troskliwość i opieka nad chorymi, którzy zrazu zostali tak bezlitośnie opuszczeni od swoich; ale — wyznawajmy to po wszystkie czasy — wybawiło nas tylko niezmierzone miłosierdzie Boże: Bóg zadał ranę i Bóg ją zagoił, wychłostał i pocieszył, chwycił w dłoń różgę i podał kostur na wsparcie.”

Lud medjolański atoli dobrze spamiętał, kogo Bóg sobie za narzędzie zmiłowania wybrał i komu go w opiekę na ten czas próby i niedoli oddał. To też jeżeli w dziejach Kościoła widnieje postać kardynała Boromeusza przedewszystkiem jako wzniosły wzór biskupa-reformatora i pierwszego wykonawcy uchwał wielkiego soboru, to u wdzięcznego włoskiego ludu żyje on w pamięci jako anioł pocieszenia i miłosierdzia.

X.

Św. Karol w życiu codziennem.

Minęła zawierucha buntów, zakończonych zbrodniczym zamachem, minął z wygaśnięciem zarazy straszliwy pomór, i św. Karol wracał do zwykłego trybu nie ustającej na chwilę pracy pasterskiej. „Lecz teraz — jak pisał jeden ze współczesnych — nie miał już prawie z czego żyć i sam popadł w niedostatek.” I rzeczywiście nie tylko wydał na jałmużny podczas dżumy całe swoje zasoby i ogołocił niemal ze wszystkiego swój dom, lecz nadto pozaciągał długi na ojcowiznę, które mozolnie do końca życia musiał spłacać. Ale w pełni posiadał zato przywiązanie powierzony mu owczarni. Dotąd wierni z nieśmiałością tylko podnosili ku niemu wzrok, patrzali nań jak na troskliwego, lecz surowego nieraz zwierzchnika. Teraz, spoufalerzeni miłosierdziem, przyzwyczaili zwracać się ku niemu w każdej potrzebie jakby do ojca, bo odtąd tem serdecznem mianem powszechnie go już zwano. Posłuszeństwo, które w podjętem dziele naprawy wywalczać wprzód sobie musiał, samo mu się odtąd ścieliło do stóp: słuchano go chętnie, bo wiedziano że nie tylko radzić, ale i zaradzić umie.

Tem zazdrośniej patrzyli na taki wzrost władzy moralnej urzędnicy hiszpańscy i mnożyli zażalenia w Madrycie i w Rzymie. Filipowi II powtarzali, że nie zdołają utrzymać w podbitym kraju powagi królewskiego rządu, dopóki Lombardczyk z krwi i kości podobnego w nim zażywać będzie wzięcia. Rzucali nawet na niego podejrzenie, że dąży do przewrotu i udzielności w Lombardji. W Rzymie znów skarżyli się przed papieżem i kardynałami, że arcybiskup medjolański przekracza zakres duchowny z ujmą władz świeckich i tym sposobem ciągly w kraju wywołuje ferment. Zdarzyło się, że bawiący właśnie w Rzymie św. Karol spotkał pewnego razu na przedpokojach papieskich poselstwo medjolańskie, które szczególnie mu wrogi namiestnik, margrabia Ayamonte, z szeregiem skarg do papieża był wysłał. Nie namyślając się długo, wprowadził posłów do papieża i sam mu ich jako swoich diecezjan przedstawił, zaczem natychmiast do Medjolanu powrócił, aby tam oczekiwać papieskiego rozstrzygnięcia sporu. Ale Grzegorz XIII nie wątpił nigdy o słuszności jego zarządzeń, więc choć oszczędzał przezornie wszechwładnych we Włoszech Hiszpanów, jemu przecież zawsze na koniec przyznawał rację. Zresztą i Filip II wskutek czci osobistej, jaką dla kardynała Boromeusza żywił, sam czasem coraz więcej na swych przedstawicieli w Lombardji wpływał, ażeby zaprzestali dokuczliwej polityki i nie wszczynali wciąż nowych pomiędzy obiema władzami sporów. Dzięki temu

uchroniła się pomiędzy innemi Lombardja od zaprowadzenia w jej granicach groźnej inkwizycji hiszpańskiej: z powołaniem się na własny trybunał zaprotestował św. Karol stanowczo przeciw zakładaniu obcego.

Tak więc okres drugi pasterskiego jego zawodu, aczkolwiek nie bez wznawianych przez najeźdźców od czasu do czasu zatargów, naogół przecież upływał spokojniej. Niemalże monumentalnych budowli Medjolanu z tej właśnie boromeuszowskiej pochodzi epoki. Ulubionym kardynała architektem był Pellegrino Tibaldi. Części tumu, którego budowa trwała przez kilka stuleci, a mianowicie wielkie środkowe okna fasady, krypta i chrzcielnica, dalej kościoły S. Fedele, S. Protaso i wzniesiony po wygaśnięciu zarazy kościół S. Sebastiano, przestronny pierwszy dziedziniec arcybiskupiego pałacu, wreszcie nowa kopuła kościoła S. Lorenzo są głównymi dziełami tego artysty w Medjolanie. Należy on do grona owych mistrzów budowniczych włoskich, którzy w drugiej połowie XVI w., a przed wszechwładnem zapanowaniem baroku, za wzorem najzdolniejszego z nich, Palladia, wracali raz jeszcze do prostoty klasycznej, podporządkowując skąpą zawsze tylko dekorację logicznym wymogom linii. Styl ich jasny i okazały, lecz nieco surowy i zimny, odpowiadał jak wraz duchowi kontrreformacji i był jej wiernym wyrazem.

Największą ze zbudowanych staraniem św. Karola świątyni był wspomniany kościół S. Fedele,

który dla Towarzystwa Jezusowego wystawił. Z uczniami św. Ignacego łączyły go bowiem przez całe życie bliskie nader i ściśle stosunki. W Rzymie był kiedyś naznaczonym przez papieża oficjalnym ich protektorem, kierownikiem własnego sumienia zawsze z ich grona wybierał, a jeszcze w rozporządzeniu ostatniej woli z wdzięcznością zaznaczał, ile usług diecezji jego jezuiti oddali. Ale tak oni, jak sprowadzeni również przez niego do Medjolanu teatyni, związani własną regułą zakonną, nie podlegali mu bezpośrednio, ani się mogli poświęcać wyłącznie służbie w parafjach, na czym mu przedewszystkiem zależało. Zwolna więc dojrzewał w nim zamiar założenia nowego zgromadzenia, któreby łączyło z przywilejem życia zakonnego zupełną od każdorazowego arcybiskupa medjolańskiego zależność. W wypracowaniu statutów tak znamiennej dla indywidualności św. Karola miejscowej kongregacji pomagał mu doświadczeniem i radą stary jego rzymski przyjaciel św. Filip Nereusz, i w r. 1578 zawiązane zostało zgromadzenie, które założyciel dla uczczenia wielkiego swego poprzednika na stolicy medjolańskiej oblatami św. Ambrożego nazwał. Bez składania wieczystych ślubów zakonnych oblaci zobowiązywali się do przestrzegania rad ewangelicznych zakonnego życia, zresztą zaś oddani byli całkiem na usługi kościoła medjolańskiego, którego zwierzchnikowi ślubowali posłuszeństwo. Wizytacja kościołów, kaznodziejstwo i katechizacja, kierownictwo szkół i seminarjów,

ale przede wszystkim zastępstwo w parafjach, gdzie pleban zachorował, umarł, lub czasowo obowiązków spełniać nie mógł — to było głównem zadaniem oblatów. Z doborowych żywiółów duchowieństwa rekrutował św. Karol tę swoją rezerwę, którą mógł wedle potrzeby z miejsca na miejsce każdej chwili przesuwać. A jak dbał o nowe zgromadzenie i jaką doń przywiązywał wagę, tego dowiódł zwierając się jednemu z powierników, iż gdyby nie śluby wiążące go z diecezją, samby najchętniej zaraz do oblatów wstąpił, aby na rozkaz biskupa, bez względu na trud i niewygody, dziś tu, jutro tam, na służbę wiernych biec.

Do takiej ścisłej spójni zadań duchowieństwa świeckiego z obowiązkami zakonnemi i z klasztor-nem życiem dążył św. Karol osobiście zawsze, aż stał się sam rzadkim wzorem zestroju czynnego życia z kontemplacyjnem. *Acta Ecclesiae Mediolanensis*, które zawierają w chronologicznym porządku wszystkie jego zarządzenia, listy pasterskie, instrukcje dla duchowieństwa, oraz uchwały sześciu soborów prowincjonalnych i kilkunastu synodów diecezjalnych, zwołanych w ciągu jego niespełna dwudziestoletnich rządów na stolicy arcybiskupiej medjolańskiej, są wymownym pomnikiem nieustannej, a wciąż twórczej jego pracy. Obok tego obszerna korespondencja, jaka go łączyła z wszystkimi niemal wybitniejszymi ludźmi ówczesnego świata katolickiego, wreszcie rękopisemne traktaty treści religijnej, dopełniają pokaźną po nim

literacką spuściznę. Szczególnie zdumiewającą jest ilość listów. Większość ich przechowuje biblioteka ambrojańska; inne rozproszyły się po rozmaitych księgozbiorach europejskich. Wierny towarzysz, współpracownik, a później biograf św. Karola, Bascapé, wspomina, że sam miał z jakie trzydzieści tysięcy listów jego w ręku. Są one niekiedy pisane własnoręcznie, częściej oczywiście dyktowane sekretarzom, lub przygotowane przez nich, ale noszą zawsze indywidualną cechę kardynała Boromeusza, ścisłej jego rzeczowości i praktycznego zmysłu. Z zachowanych pism traktat „O rozmyślaniu” zawiera komentarz i dopełnienie słynnych „Egzercycyj” św. Ignacego, a *Silva Pastoralis* jest zbiorem krótkich wypisów z codziennych lektur, pokłosiem tekstów przeznaczonych do kazań przygodnych.

Ale dokładniej aniżeli owe *Acta*, listy i traktaty malują człowieka i jego życie pozostałe po św. Karolu suche diarjusze, w których rozkładał sobie naprzód zajęcia na każdy dzień, tydzień i miesiąc. Przesuwają się w tych zapiskach nabożeństwa pontyfikalne i procesje, kazania i konferencje, nauki kościelne dla księży czy seminarzystów, inne dla prawników lub lekarzy, udzielanie posłuchań i wizyty pasterskie, odwiedziny szpitali albo więzień, lustracje szkół i egzamina kleryków, udzielanie święceń kapłańskich i konsekracje kościołów, przygotowywanie synodów diecezjalnych i soborów prowincjonalnych, zagajanie i przewodniczenie ich zebraniom, pielgrzymki do miejsc świę-

tych i podróże a d limina, — słowem cały ten olbrzymi zakres pracy biskupiej, o jakim św. Karol sam zwykł był mówić, że rozszerza się lub zwęża wedle woli biskupa, który ma zawsze roboty tyle, ile sam jej mieć pragnie: dużo, jeżeli jest gorliwy, mało, jeżeli niedbały.

Odpowiadało to potrzebie jego serca, aby wszystkim służyć i wszędzie dążyć z pomocą, stąd też daleko w zakresie własnej pracy poza granice ścisłego obowiązku sięgał. Więc jak w czasie zarazy zajmował się porządkowaniem szpitali lub zarządzeniami higieny, tak samo w latach nieurodzaju i klęski głodowej sam czynił starania o wolny dowóz zboża z krajów sąsiednich, i publiczna kuchnia, otwarta pod portykiem arcybiskupiego pałacu, żywiła co dnia krocie biednych. Dbał o wieczne, ale krzątał się zarówno pilnie około dobra doczesnego powierzonej mu trzody i gdzie mógł, tam wskazówką lub radą budził zapobiegliwość i podnosił dobrobyt. Tak np. zalecał kulturę sprowadzonej naówczas do północnych Włoch kukurydzy, która odtąd stać się miała tak ważnym środkiem pożywienia, i którą lud, pono od jego imienia, często *carlone* zowie. Ładem przodował zresztą i w zarządzie rozległych dóbr arcybiskupich, ale co do grosza zdawał z nich rachunki przed synodem diecezjalnym, powtarzając, że nie chce za jeden choćby grosz cudzy, bo należący do Kościoła, odpowiadać przed Bogiem.

Wobec takiej pełni pracy uderza tem więcej płynące równolegle z tem czynnem życiem życie ciągłej modlitwy, rozmyślań i umartwień. Bo w nieustannym ruchu i wirze zajęć, wśród gwaru otaczających go zewsząd ludzi i z umysłem wyteżonym ku rozwiązaniu tylu praktycznych zagadnień, żył św. Karol przecież wewnętrznem nawskroś życiem, skupiony w sobie jak pustelnik. Każdą pracę rozpoczynał od pacierza i pacierzem kończył, a nawet wedle opowiadań współpracowników i podczas niej tak im się oderwany od rzeczywistości i jakby w zaświatową jakąś dal wpatrzony nieraz zdawał, iż przerywali robotę w mniemaniu, że modli się i nie słucha, aż po chwili padały z ust jego jasne i treściwe, rozstrzygające o przedmiocie słowa. Małomówny, nie zapuszczał się w rozmowę, chyba że dotyczyła służby Bożej lub dobra bliźnich. Zresztą modlitwą każdą wypełniał chwilę. W domu urządził sobie na poddaszu zaciszne oratorium i tam cofał się chętnie, gdy mu czasu starczyło, na rozmyślania i ćwiczenia duchowne. Pismo święte czytywał zawsze na klęczkach, a że mu dnia wobec nawału pracy nie starczyło, więc i część nocy na modlitwę i czytania pobożne poświęcał, i ukrócał coraz więcej i tak krótko wymierzone godziny spoczynku. Już podczas pobytu na dworze Piusa IV czuwał niekiedy przez noc całą w bazylice liberjańskiej lub innej jakiej świątyni rzymskiej. Odkąd w czasie zarazy złożył ofiarę z życia Bogu, tak się w nim wzmogła żar-

Wiwa pobożność, że owe noce, spędzane w kościołach, częstszymi się jeszcze stały. Ilekroć miał powziąć ważniejszą decyzję albo do większego przystępował zadania, nie kładł się wcale poprzedniej nocy do snu, tylko trawił ją do rana na modlitwie, bądź w domowej kaplicy, bądź u grobu św. Ambrożego, bądź najczęściej w krypcie oddanego oblatom kościoła San Sepolcro, obok której zachował sobie celkę klasztorną, aby móc tam niepostrzeżenie na modlitwę przychodzić. Kiedy go zaś proszono, aby brakiem snu sił nie terał, odpowiadał z uśmiechem, że jeżeli dowódca w przeddzień walki nie śpi, to o ileż więcej czuwać powinien biskup, ten wódz i obrońca wiernych wśród nieustających z całą potęgą piekielną zapasów.

Z modlitwą szły w parze umartwienia. Przyzwyczajał się do nich stopniowo i sam mówił, że naturę ludzką do wszystkiego nagiąć można, aż się czasem wszystkich nawyknień pozbędzie. Za posiłek służyło mu w ostatnich latach trochę suchych jarzyn, chleb i kubek wody. Do stołu zasiadał, gdy mu czasu stało, bez przestrzegania godzin, a przy stole słuchał jakiej pobożnej lektury, sam czytał, lub podpisywał przedkładane mu akta i listy. Do własnej wstrzemięźliwości nie zobowiązywał przecież otoczenia ani gości, których chętnie podejmował, a choć nie lubił długich przy stole posiedzeń, i w tem wolę swoją, gdzie było potrzeba, nagiął. I tak np. wśród wizyt pasterskich w katolickich kantonach szwajcarskich, do

kilkogodzinnych zwyczajem tamtejszym biesiad ze Szwajcarami niejednokrotnie zasiadał, byle ich po-
ufałem obcowaniem sobie, a przez siebie Kościo-
łowi zjednać. Sypiał zawsze tylko na sienniku
i grubem płótnie, które zmieniać kazał, skoro po
kilkakrotnem praniu pierwotną straciło szorstkość.
Pod suknią nosił twardą włosiennicę, a po śmierci
sposztrzeżono na jego ciele ostre ślady razów dys-
cypliny. Dbały zawsze w kościele o wspaniałość
nabożeństwa, sam przy kościelnych ceremonjach
z uroczystem występował też zawsze dostojnością.
Po zdjęciu bogatych strojów kościelnych zadawał
się w domu najuboższą suknią. Aby go skłonić do
sprawienia sobie nowej odzieży, dzielili nieraz do-
mownicy starą i nazbyt zużytą pokryjomy między
ubogich. Ale bywało, że ubodzy zwracali się ku
niemu ze skargą, iż ich w jego domu podobnemi
zbyt chciano łachmanami. Opowiadają również, że
gdy pewnego razu w ciągu wizyt pasterskich ka-
pelan wszedł wieczorem do izdebki, którą św. Ka-
rol na odludnej jakiejś plebanji w górach zajmował,
zastał go drżącego od zimna pod starą i wytartą
sutanną. Na zapytanie zaś, dlaczego się w ciepłej-
szej nie otuli szatę: „Nie mam innej — odparł po-
kornie — gdyż ta, którą przez dzień nosilem, na-
leży do kardynała”.

Bo ten pan z panów tylko już godność kar-
dynalską wysoko nosił, pilnując ściśle, żeby jej
nikt, przedewszystkiem nikt z możliwych tego świata
nie uchybił. To też ilekroć który z nich do Me-

djolanu zawitał, on, tak zawsze prosty i nie dbający o światowe zaszczyty, przestrzegał bacznie etykiety i należnych mu jako księżęciu Kościoła względów. A odwiedzali go z kolei zaprzyjaźnieni z nim ściślej członkowie panującej rodziny sabaudzkiej, to znów powinowaci jego Gonzagowie z Mantui i inni włoscy książęta. Witał też w Medjolanie uchodzącego z Polski do Francji Walezjusza, a w kilka lat potem z szczególną uroczystością ugaszcał Andrzeja Batorego, późniejszego kardynała, który w przejeździe do Rzymu z wolą króla Stefana obrócił drogę na Medjolan, aby słynącego i w dalekich krajach z cnót arcybiskupa odwiedzić. Zbliżającego się w pięćdziesiąt koni Batorego przyjmowali wysłannicy kardynała Boromeusza już o kilka mil poza miastem, a sam kardynał z licznym orszakiem oczekiwał go na progu arcybiskupiego pałacu, chcąc — jak pisze Giussano — przyjąć synowca monarchy, którego tak wysoko cenił, „alla grande”.

Po takich przejściowych występach wracał św. Karol natychmiast do skromnego trybu życia. Zacierał nawet powoli wszystkie ślady rodowego dostojństwa i z herbowych znaków nie zachował nic prócz ukoronowanego godła *humilitas*. Gdy zaś na nowych budowlach, których tyle wznosił, umieszczano gdzie herby boromeuszowskie, zaraz tarcze zdejmować i owem godłem pokory albo wizerunkiem św. Ambrożego zastąpić je nakazywał. Zczasem i nazwiska rodowego używać przestał, a podpisywał się już tylko według tytularnego swego

kościola w Rzymie: kardynał św. Praksedy. Wobec kurji rzymskiej, zwłaszcza wobec osoby samego papieża odnosił się zawsze z czcią największą. Nawet pisma papieskie tylko z odkrytą brał do rąk głową, a wszystkie zarządzenia natychmiast sumiennie stosował. Głęboko przywiązany do starożytnego rytu ambrozjańskiego swej diecezji, bronił go długo i wytrwale przeciw zamiarom unifikacyjnym, wychodzącym z Rzymu. Skoro jednak Grzegorz XIII zniesienie tego rytu w niektórych okolicach lombardzkich zarządził, i b r e v e odnośne do rąk kardynała doszło, poddał się on odrazu woli papieża i sam nad ujednostajnieniem obrządków w naznaczonych miejscach czuwał. Równie kornie dopominał się o podjęcie lustracji przez legatów papieskich we własnej diecezji, kiedy ją papież w sąsiednich zarządził.

Ale największą dla pokory jego próbą były nieustanne hołdy, które mu lud medjolański, szczególnie od czasów zarazy składał. Napróżno bronił się i sprzeciwiał podobnym objawom, a tylko tem goręcej prosił kierowników sumienia lub towarzyszy pracy, aby mu bez ogródki wytykali błędy, którychby sam w sobie rozeznac nie umiał. Lud nie słuchał i nie zrażał się zakazem, ale trwał w czci nabożnej i jak świętego wielbił go już za życia. To też kiedy schodził na ulicę, wielu przybliżało się do niego ukradkiem, aby dotknąć przynajmniej kraju jego szaty i nabożnie go do ust przycisnąć.

Od ksiąg o żarliwym reformatorze i wykonawcy soboru trydenckiego wyobraźnia się więc chętnie choćby na chwilę odrywa, żeby dążyć wślad za nim po ulicach pięknego Medjolanu, które w pobożnych lub miłosiernych swych wycieczkach tak często wzduż i wszecz przebieżał.

Oto wychodzi właśnie w popołudniowych godzinach z szczytym orszakim z arcybiskupiego pałacu. Wysokiego wzrostu, ale już w czterdziestym roku życia wychudły i zgarbiony, stąpa powoli z wyrazem głębokiej zadumy na wybladłej i ascetycznej twarzy. Twarz to zresztą rasowa i dostojna. Ciemne włosy okalają wysokie czoło, a z pod gęstych brwi wygląda para niebieskich, zawsze jakby w jakąś dal wpatrzonych oczu. Nos duży i orli i usta nieco naprzód wydęte nadają znamię siły i energii ściągłym licom, które praca i umartwienia w 'twarde pooraly zmarszczki. Przystaje na chwilę przed tumentem i przygląda się robotom, które prowadzi według jego zleceń Pellegrini, aby skończyć kilkowiekową budowę wspaniałej świątyni. Wokoło niego robi się wnet rojno, bo każde takie zejście na ulicę zamienia zawsze na publiczne posłuchanie. Każdemu zbliżyć się wolno, z każdym dobrotliwie rozmawia i każdego słucha. Cisną się więc ze wsząd ku niemu, ten z ustną prośbą, tamten z podaniem na piśmie, inny znów za jałmużną lub wsparciem. Dla ubogich ma w zanadru przewieszoną zawsze sakiewkę, do której sięga i grosze między nich dzieli. Opodal stoją biedniejsi, ale tacy, co

nie wyciągają ręki. Ku tym podchodzi i nazwiska ich zapisuje. Odwiedzi ich nazajutrz osobny jego tajny jałmużnik, któremu z wyszukaną dobrocią oddał w opiekę tych, co wstydliwie uniknąłby chcieli smutnego piętna żebractwa. Przechodzi obok szpitala: wstępuje do chorych, krzepi słowem, pociesza i serca w górę wznosi, a wzrokiem dogląda starań i porządku, praktycznie radzi i zarządza. Z więzień przynoszą mu codziennie stopy podań o pomoc i opiekę, lub skargi na twarde wyroki i surowość dozorców. Więc niekiedy zamiast do chorych, wstąpi do więźniów, wysłucha ich żalów, obieca zająć się losem opuszczonych ich rodzin i wstawić się u władz świeckich dla nich samych o ulgę, wzamian zaś wzywa ich do naprawy życia. Potem zajrzy do seminarjum lub do której z przydrożnych plebanij miejskich. Wszędzie wgląda w bieżące sprawy, wysłuchuje sprawozdań, daje rozkazy, a gdzie potrzeba, pouczy i surowo nieraz napomni. Wychodząc spostrzega bawiące się na ulicy dzieci; woła je do siebie, klęka pod narożną figurą świętych lub wmurowanym w ścianę obrazem Madonny i głośno z niemi pacierz mówi. Do tych przygodnych nabożeństw pod gołym niebem przywykli już medjolańczycy, bo często tak w wieczornych godzinach modlącego się z dziatwą kardynała widują. Z domów okolicznych podchodzą rodzice, więc i do nich zwraca się z serdecznem wezwaniem, aby dzieci posyłali do szkółek nauki chrześcijańskiej, a przedewszystkiem,

żeby sami im świecili przykładem. Przez innych wciąż po drodze witany znajomych i przez nowych zatrzymywany suplikantów, zwraca się wreszcie ku domowi, ale że właśnie dzwonią na Anioł Pański, więc wstępuje jeszcze do katedry i klęka przed wielkim ołtarzem.

Kto był w Medjolanie, ten nie zapomni wrażenia wieczornych godzin spędzonych w tumie. Olbrzymie filary wysmuklej jeszcze zdają się strzelać w górę i nikną gdzieś u szczytów pod osnutem już nocą sklepieniem. Przez różnobarwne szyby okien pada tu i owdzie błękitna lub purpurowa smuga, która błednie w miarę jak dogasa światło dzienne i zlewa się powoli w jakiś dziwny, tylko tej jednej świątyni właściwy biały pomrok, spływający z śnieżnych marmurów ścian, filarów, stropu i posadzki. Ma się złudzenie, że to nie zachodzi cień nocy, ale że budzą się już pierwsze, spowite jeszcze we mgle, półświatła brzasku.

W tym białym pomroku klęczał nieraz św. Karol o wieczornej porze. Składał tam Bogu rachunek z myśli swych i czynów, polecał zaznane troski, zajrzone nędze, przebyty trud dnia ostatniego. Wkrótce już po trudzie całego żywota miał się sam pod tym ołtarzem na wieki ułożyć spoczynek.

XI.

Ostatnie lata i zgon.

Kiedy św. Karol u schyłku życia rozglądał się wokół siebie, ze spokojem mógł stwierdzić, jak myśl, której zawsze wiernie służył, zwyciężyła i zdobyła już prawie całą społeczność katolicką. Czy miał świadomość własnej w tym zasługi, to pozostało jego tajemnicą. Nazewnątrż nie zdradzał jej nigdy, bo uważał się tylko za narzędzie w rękach Opatrzności. Jeżeli więc skutek pracy był dobry, przypisywał go łasce z góry. A przecież udział jego w dziele naprawy Kościoła był często rozstrzygający. Widzieliśmy w ciągu tego opowiadania, jak zamilodu, w czasie pobytu w Rzymie przy boku Piusa IV głównie przykładem własnym przeistoczył dwór papieski i przywrócił hierarchji czystość i powagę, bez których posłannictwa swego spełnić nie była w stanie, a tylko kuła broń przeciw sobie dla protestantów. W Rzymie drugiej połowy XVI stulecia nie poznawał nikt Rzymu z wieku tego początków. Ucichł chrzest zbroi Juliusza II, zamilkły słodkie dźwięki lutnistów Leona X i jakby spłoszone wizją straszliwego sądu, którą Michał Anioł na ścianach sykstyńskiej kaplicy roztoczył, pierzchnęło świeckie życie z Watykanu.

W klasztornej niemal ciszy i skupieniu przygotowywał się i dojrzewał wielki pontyfikat wieku, zbliżające się rządy Sykstusa V. „W rzeczach religijnych — pisał w dziesięć lat po zamknięciu soboru trydenckiego poseł wenecki Tiepolo — niedalekim jest Rzym i kurja papieska tego stopnia doskonałości, do jakiego natura ludzka wogóle podnieść się może.”

Podobnie świadczą współcześni, jak z zachwaszczonego pola prowincji kościelnej medjolańskiej stał się po kilkunastoletnim zarządzie św. Karola „kwitnący ogród”. Wszystkie jego zakłady rozwijały się pomyślnie: z nowych seminarjów wychodziły szeregi w nowym duchu wyszkolonych duchownych, którzy nieśli przykład i poza granice diecezji; Collegium Helveticum dostarczało księży katolickim kantonom Szwajcarii, w kolegium Boremeuszowskim w Pawji i w konwikcie szlacheckim w Medjolanie kształciło się w duchu chrześcijańskim i w rygorze obyczajności nowe pokolenie młodzieży duchownej i świeckiej; oblaci w myśl założyciela gorliwie pomagali plebanom po parafjach w pasterskiej służbie; sprowadzeni przez niego jezuiti zakładali szkoły, a teatyni z kazalnicy kościołów medjolańskich głosili słowo Boże i katechizowali lud; dla zreformowanych starszych klasztorów żeńskich prawdziwym wzorem stał się założony przez niego nowy surowy klasztor franciszekanek, a obok rozwijał się również przez niego pod wezwaniem św. Magdaleny otwarty przytułek dla pokutnic;

dopełniały wreszcie liczby tylu kwitnących zakładów i fundacyj domy sierot, schroniska dla powracających do zdrowia, a przede wszystkim owe szczególnie mu drogie szkoły nauki chrześcijańskiej, które w bujnym rozroście krzewiły się po wszystkich okolicach Lombardji.

Z Rzymu zarządzenia kardynała Boromeusza za wzór innym biskupom stawiano. Niejeden z nich, gorliwszy, przybywał sam do Medjolanu, aby patrzeć i uczyć się. Znaczenie diecezji medjolańskiej daleko promieniało poza własne granice. Tak np. książkę Filibert Emanuel sabaudzki osobno św. Karolowi w gorących dziękował słowach, że wpływ Lombardji i sąsiednią Sabaudję uobyczaja i podnosi, a znakomity arcybiskup boloński i wierny naśladowca św. Karola, kardynał Paleotto, z ambony wielbił Medjolan, „który przez święte uczynki i pobożność stał się nową zaprawdę Jerozolimą”.

Jak bywa zawsze u natur wyższych, powodzenie stawało się dla św. Karola bodźcem do wzmożonej jeszcze pracy, a uznanie niewoliło go tylko do większego uświęcania się. W takiej pełni uświęcania i pracy zastała go śmierć.

Corocznie, czasem dwa razy do roku, przywykł się był cofać na dni kilka do zacisznego jakiego klasztoru lub pustelni. W jesieni 1584 r. skierował w tym celu drogę w okolice rodzinne, do leżącego na zachód od Lago Maggiore Varallo. U stoków Monte Rosa, w ustronnej dolinie Sesii wznosi się na wzgórzu założony w XV w. przez błogo-

sławionego Bernardina Caimi, medjolańczyka, klasztor franciszkański. Pod wzgórze — S a c r o M o n t e wiedzie lesista droga, a wzdłuż niej ciągną się wieńcem kaplice poświęcone tajemnicom pasyjnym. Tam ze spowiednikiem, jezuitą Adorno, i z kilkoma towarzyszami zamknął się św. Karol na ostatnie kilkodniowe rekolekcje.

Od rana i wczesnej mszy świętej, przy której ołtarz z głębokim wzruszeniem rześystemi oblewał łzami, cały dzień schodził mu na rozmyślniach i modlitwie, a w nocy z latarką w ręku odbywał sam drogę krzyżową w kapliczkach leśnych i w długich czuwaniach zatapiał się w tajemnice Męki Pańskiej. Czy miał już przeczucie bliskiego końca? Prosty i do roztkliwień nieskory, nie zwierzał się nikomu, chyba jednemu tylko kierownikowi sumienia z tajników swej duszy. Ale tym, co w tych dniach zbliża na niego patrzyli, zdawał się więcej jeszcze skupiony i jakby całkiem już oderwany od świata. Towarzysze jego wspominali, z jaką przedziwną słodyczą i pogodą o rzeczach wiecznych wówczas z nimi mówił, a opowiadali także, jak w wędrówkach po świętem wzgórzu najchętniej zatrzymywał się zawsze i najdłużej modlił wpatrzony w zwłoki zmarłego Zbawiciela w kapliczce Grobu świętego. Gdy po ukończeniu kilkodniowych ćwiczeń nadeszła chwila rozstania się z klasztorem i miano już ruszyć w drogę, tam go znalazła podróżna drużyna kłęczącego jakoby w zachwycie.

Schodząc dnia 29 października na dolinę, niósł w sobie już zarodek śmierci. W ostatnich dniach pobytu na wzgórzu chwyciła go bowiem febra, ale mimo powracających paroksyzmów nie chciał przed założonym terminem przerwać ćwiczeń duchownych. Teraz śpieszyło mu się do Medjolanu, gdzie w dzień Wszystkich Świętych miał w tumie odprawić solenne nabożeństwo. Przedtem atoli jeszcze postanowił zatrzymać się na brzegach Lago Maggiore, aby w Asconie otworzyć i poświęcić kolegium, którego budowę dla młodzieży z tamtejszych okolic właśnie był ukończył. Chory i znużony przybył po kilkunastu godzinach drogi do Arony i prawie bez zatrzymania się późną nocą wsiadł na łódź i popłynął przez całą długość jeziora ku leżącej na północnym jego krańcu Asconie. Na dnie łodzi rozesłano materac, aby mógł spocząć. Ale on, do czuwania przywykły, klęknął najpierw i wezwawszy wiosłarzy, głośno z nimi począł odmawiać pacierze, następnie zaś, zwrócony do towarzyszków, jął pobożnie toczyć z nimi rozmowy. I wtedy po raz pierwszy w ciągu tych dni mówił o swojej śmierci. Wspominał, jak ojciec jego i matka, jak brat i inni krewni wcześniej pomarli, i dziwił się, że jemu jednemu z rodziny tak długie życie — liczył dopiero lat czterdzieści i sześć! — Bóg w łasce swojej dać raczył. Rozmowę przeplatał naukami o potrzebie ciągłej gotowości i dobrego przysposobienia się na śmierć, potem naprzemian rozmyślaniami i modlitwą, a wsłuchani w drogi im głos towarzysze ani

spostregli, jak gwiazdy powoli zbladły, jak zaświtały zorze i zrobił się już dzień, kiedy łódź zawinęła do Canobbio, gdzie dzwony były właśnie na nabożeństwo poranne.

Ten obraz mistrza, nauczającego na łodzi przed bliskim już rozstaniem z apostolską swoją drużyną, pociąga i chwyta za serce jakby daleki odblask najświętszej z poprzed wieków z innego jeźdźcy wizji.

W Asconie podczas ceremonii otwarcia kolejum przyszedł nowy, silniejszy atak febry. Gorączka tak się wzmogła, że nie było już mowy o zdążeniu na dzień Wszystkich Świętych do Medjolanu. Przeprowadzono się więc znowu na południową stronę jeziora i dziwnym zarządzeniem Opatrzności w rodzinnej Aronie, gdzie przyszedł na świat i gdzie został ochrzczony, dane było św. Karolowi ostatnią w życiu mszę odprawić. Opadając już coraz bardziej na siłach, ruszył nazajutrz w dzień Zaduszny, pod opieką bratanka, hrabiego Renata Boromeusza, do Medjolanu. Chorego niesiono w lektyce, i po kilkunastu godzinach drogi stanęła drużyna w nocy u celu podróży. Wieść o chorobie kardynała nie była jeszcze do Medjolanu dotarła, więc pusto było i cicho na ulicach, kiedy przesunął się przez nie smutny kondukt. Przywołani natychmiast medycy nie spostregli doraźnego niebezpieczeństwa, sądzili raczej, że się na ciężką, lecz długą zanosi chorobę. Zdawało się, że lekarze mają słuszność. Nazajutrz rano chory czuł się

rażniejszy. Przeniesiono go do obszerniejszej komnaty, gdzie sam ustawić kazał naprzeciw łóżka dwa ulubione swoje obrazy. Jeden z nich przedstawiał pierwszą, drugi ostatnią tajemnicę pasyjną: modlitwę w Ogrojcu i złożenie do grobu. Mówił, ile mu pokrzepienia widok tych męczeńskich stacyj Chrystusowych przysparza, i wśród nieustających pacierzy wciąż po nich oczyma wodził. Ale już od południa po zanikających nagle siłach poznano, że wszelkie nadzieje były zwodnicze i że koniec się zbliża. Spowiednik pochylony nad łóżem zapytał go, kiedy chce przyjąć ostatnie Sakramenta. A l'ho ra: — Zaraz — wyszeptał św. Karol i to były ostatnie jego słowa. Z tumu ruszyło w długim szeregu duchowieństwo z Przenajświętszym Sakramentem do łóża umierającego. Jeszcze raz próbował się dźwignąć, żeby na klęczkach przyjąć Ciało Pańskie, ale sił nie starczyło i bezwładny opadł na posłanie, a tylko wzrok rozmodlony wskazywał, jak przytomnie i z jakim przejęciem brał namaszczenie i wiatyk. Jeden z kapłanów ujął w dłonie omdlewającą już jego rękę i zakreślił nią nad klęczącymi dokoła znak krzyża na pożegnalne dla wszystkich błogosławieństwo. A potem rozpoczęło się konanie.

Zapadał tymczasem wczesny zmrok listopadowy i cienie ogarniały miasto. Ale spoczynku tej nocy Medjolan nie zaznał. Do późna zalegali wierni świątynie, wznosząc błagalne modły o zachowanie im umiłowanego dobroczyńcy; bractwa wśród psalmów i litanij obchodziły w procesjach

siedm uprzywilejowanych kościołów; inni wreszcie cisnęli się tłumnie pod bramy pałacu arcybiskupiego i stali wpatrzeni w okno komnaty, w której dogorywał święty.

A on leżał przykryty włosiennicą posypaną popiołem, tak jak się oddawna na ostatnią godzinę oblec przykazał, ażeby umierać na wzór dawnych biskupów chrześcijańskich. Wokoło klęczeli krewni, domownicy i duchowieństwo katedralne, a uroczystą ciszę przerywał tylko głos kapłana, czytającego ewangelję o męce i zgonie Zbawiciela, albo płacz, wrywający się z piersi wiernych towarzyszków pracy arcybiskupa, który ich po skończeniu ziemskiej wędrówki opuszczał. Cicho też, prawie niepostrzeżenie nadeszła śmierć: około godziny trzeciej po północy jakby zbudzony ze snu otworzył święty raz jeszcze oczy i wlepiwszy zamglony wzrok w krucyfiks, który spowiednik jego w ręku u wezłowią trzymał, bez walki i z pogodnym wyrazem na licach odszedł po wiekiustą nagrodę.

O świcie odezwały się chórem wszystkie dzwony Medjolanu, zwiastując mieszkańcom wieść żalobną. „I odrazu — pisze wierny Giussano — zerwał się taki płacz i lament, jak gdyby każdy stracił był ojca lub matkę, brata albo syna, a wielu mówiło, że Bóg jakby pogwałcony miarą znojów, umartwień i modłów pokornego sługi, umyślnie zabrał go tak zniecka, aby nie dać ludowi medjolańskiemu czasu na ubłaganie oddalenia wyroku.”

Miłość i przywiązanie, jakimi lud ten za życia arcybiskupa otaczał, zamieniły się od razu na pobożny kult pamięci jego i grobu. Z opiekuna stał się teraz orędownikiem, i miejsce, gdzie spoczęły jego zwłoki, było odtąd stałym celem pielgrzymek. Przybywano zewsząd, z dalekich nawet krajów, aby się na jego grobie pomodlić, a wzajemian rozchodziły się z Medjolanu wizerunki zmarłego po całym świecie. Rosta też nieustannie liczba otrzymanych za jego wstawiennictwem cudownych łask, i nie upłynęło jeszcze kilkanaście lat od jego zgonu, kiedy synod diecezjalny i rada medyolańska wystąpiły poselstwem do Rzymu z prośbą o kanonizację wielkiego ich ziomka. Do tych postulatów przyłączył się wnet dostojny szereg innych: Filip III, księżęta Parmy, Toskany, Sabaudji, Rzeczpospolita Wenecka, katolickie kantony Szwajcarii poparły prośbę Medjolanu i Lombardji. Do najgorętszych zaś popleczników tej sprawy należał nasz Zygmunt III i małżonka jego, królowa Konstancja austriacka, która w liście do papieża, pisanym w roku 1608 z Krakowa, zaświadczała „o szczególnem nabożeństwie, jakim otaczają oddawna pamięć kardynała Boromeusza wierni w tem prześwietnem Królestwie”, a powoływała się „na osobliwą miłość i życzliwość, którą ten bogobojny mąż zawsze dla polskiego narodu żywił”. Równocześnie przesyłał do Rzymu nuncjusz papieski w Polsce, Francesco Simonetta, świadectwami stwierdzone opisy cudownych łask, otrzymanych na zie-

miach polskich za przyczyną kardynała Boromeusza, aby służyły za dokumenty w kanonicznym procesie.¹⁾ Proces trwał z przerwami przez lat siedm, aż dnia 1 listopada 1610 r. papież Paweł V

¹⁾ Pomiędzy niemi znajdują się świadectwa Anny z margrabiów na Mirowie Myszkowskiej, siostry wielkiego marszałka koronnego, Zygmunta Myszkowskiego, a małżonki Jana de Ruszcza Branickiego, kasztelana bieckiego i starosty niepołomickiego, a dalej siostry jej Konstancji Myszkowskiej, zakonnicy u św. Agnieszki na Stradomiu w Krakowie, Adrjana Lubowickiego ze Skotnik, Wojciecha Krupiała z Niepołomic, Zofji Ligockiej i innych. Wedle tych świadectw kasztelanowa Anna z Myszkowskich Branicka po kilkunastoletniej chorobie powróciła do zdrowia, modląc się gorąco przed wizerunkiem kardynała Boromeusza i wzywając jego pomocy. Wizerunek ten przywiózł z Włoch do Polski dworzanin Branickich, Giovanni Rinaldi. Otrzymał go był w darze dla kasztelanowej Anny z rąk siostry Felicji Riario z klasztoru Corpus Domini w Bolonji. Po wyzdrowieniu Anny Branickiej obraz ten tak w całej okolicy zastynał i tyle się zewsząd do niego cisnęło wiernych, że go wyniesiono z komnat zamkowych i umieszczono w kościele parafjalnym niepołomickim, w kaplicy poświęconej św. Annie. Liczne ex-vota ozdobiły wnet kaplicę. Para srebrnych rąk i para srebrnych oczu były darami Anny z Myszkowskich Branickiej i siostry jej Konstancji, z których pierwsza dziękowała za odzyskaną władzę w rękach, druga za odzyskany wzrok. Sam król Zygmunt III z wielkiem się do tego wizerunku odnosił nabożeństwem. Jest to niezawodnie ten sam obraz, który znajduje się po dziś dzień jeszcze w kościele niepołomickim. Przedstawia kardynała Boromeusza modlącego się ze złożonymi rękami przed krucyfiksem. Aureolę, otaczającą głowę, domalowano zapewne po kanonizacji.

na solennej uroczystości w bazylice św. Piotra dokonał kanonizacji i zaliczył Karola Boromeusza w poczet świętych.

Za życia jeszcze przygotował był sobie św. Karol skromny grób w podziemiach medjolańskiego tumu i sam ułożył napis, proszący wiernych o modlitwę. Dziś zamieniła się ta krypta na wspaniałą kaplicę, w której wśród przepychu, jakim Kościół katolicki zwykł prochy wybrańców Pańskich otaczać, spoczywają na ołtarzu zwłoki wielkiego kardynała. Zakrystjan rozsuwa ruchome płyty sarkofagu i wtedy ukazuje się złożona w szklaną trumnę postać świętego. Na szkielet owity w zbutwiałe pontyfikalne szaty padają płomyki gorejących dokoła złotych i srebrnych lamp, a w ich odblasku tak skrzę się i żarzą posiane na zwłokach ofiarne klejnoty, że z trumny bije od nich światło na całą kaplicę.

Do takiego światła przyrównywał niegdyś pobożny kardynał Silvio Antoniano św. Karola, kiedy wkrótce po jego śmierci do Andrzeja Batoiego o nim pisał: *Tamquam lucerna ardens et lucens in excelso candelabro toti luxit ecclesiae* — „jako świeca gorejąca i błyszcząca na wyniosłym świeczniku, całemu przyświecał Kościołowi”.

BIBLIOTEKA
par. św. Józefa
w Warszawie
przy ul. Powązkowskiej

TREŚĆ:

	Str.
I. Początki odrodzenia religijnego w XVI w. Paweł III	1
II. Młodość św. Karola	9
III. Sobór trydencki. Paweł IV	16
IV. Polityczna i administracyjna działalność kardynała Boromeusza	29
V. Pius IV. Dalszy ciąg soboru trydenckiego	44
VI. Wprowadzenie w życie uchwał soboru	66
VII. Prace duszpasterskie św. Karola w Medjolanie	73
VIII. Wrogie knowania	88
IX. Działalność św. Karola w czasie morowej zarazy w Medjolanie	100
X. Św. Karol w życiu codziennym	111
XI. Ostatnie lata i zgon	126



KS



9842/1

- Bernard, O.** Żywot bł. Gabryela od Matki Boskiej Bolesnej, pasjonisty. Str. 260.
- Bilczewski, J. Arcyb.** Charakter. List pasterski do uczniów szkół średnich i seminarjów nauczycielskich. Str. 178.
- Bougaud, Ks. Bp.** Św. Wincenty a Paulo. Żywot i prace. 3 tomy. Str. 208 + 221 + 181.
- Fitzgerald, W. O. F. M.** Św. Jan Kapistran. Str. 182.
- Fouard, C. Ks.** Święty Paweł i jego prace misyjne. 2 tomy. Str. VI + 361 + VII + 288.
- Żywot Pana naszego Jezusa Chrystusa. 2 tomy. Str. XXVI + 298 + VII + 431.
- Geppert, I. Ks.** Żywot i czyny św. Wojciecha. Str. X. + 81.
- Gładysz, B. Ks.** Życiorisy wybitnych Świętych, z uwzględnieniem ich symboliki. Str. 144.
- Hello, E.** Oblicza Świętych. Str. 259.
- Korytkowski, J. Ks. Dr.** Arcybiskupi gnieźnieńscy, Prymasowie i Metropolici polscy. 5 tomów. Str. 792 + 818 + 778 + 618 + 378.
- Meschler, Ks. T. J.** Św. Józef w życiu Chrystusa i w życiu Kościoła. Str. VIII + 141.
- Orazewski, C. Ks.** Papież Benedykt XV. Opracowane według A. de Waal, Pöllmana i in. Str. 160.
- Stateczny, E. Ks.** Żywot i piśmna Doktora serafickiego św. Bonawentury. Str. 231.
- Teodorowicz, Ks. Arcyb.** Mnie żyć jest Chrystus. Str. VII + 260.
- Walkowski, J. Ks.** Pamiętniki pisane z niewoli kołobrzeszkiej. Wydał i wstępem poprzedził ks. Trzeciński. Również pod tytułem: Ważne źródło do historii Arcyb. Dunina. Str. 88.

